

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 19 (37)

Jerozolima, 1 października 1944 r.

Rok II

ZDZISŁAW BRONCEL

SIELSKIE, ALE NIE ANIELSKIE

„Kraj lat dziecińczych“. Książka zbiorowa. Londyn, Kolin, 1942. Str. 378.

To pospolite zjawisko, że człowiek w nie-szczęściu zagłębia się w rozpamiętywanie przeszłości. Poezja mówi, że nie masz większej boleści, nad podobne rozmyślanie, ale psychologia ludzi starych, bezsilnych, bądź wykończonych, gotowa powiedzieć, że może również nie być nad to większej przyjemności.

Jeżeli dręczy dzień dzisiejszy, myśl cofa się chętnie ku przeszłości, gdzie minione zmartwienia zwykle wydają się mniejsze, niż obecne.

Wiele takich passeistycznych nastrojów tkwi w literaturze emigracyjnej, głównie zaś w poezji starszego pokolenia. Bądź to Heimar, bądź Słonimski, przynajmniej otwarcie, że ginie świat, który związał ze sobą ich życie, nauczy ich trosk i radości, a niezbyt wierzą, by mogli być szczęśliwi w tym świecie, który nadchodzi. Jeśli nawet znajdą tam swoje miejsce, nie będzie to już tym, czym było i co stało się niepowrotne.

Ta bierność, przemożna tęsknota za przeszłością, są dosyć dziwne u ludzi, ostro krytykujących lata 1918-1939, należących do opozycji ideowej wobec rządów Piłsudskiego i jego nominata. Miałoby się przeciw prawu oczekiwać, że wszystko zwróci się ku przyszłości i że główną treścią pisarskich wzruszeń będzie Polska nowa, kształtująca się w podziemiach Kraju i wśród żołnierskich walk.

Ale owa przyszła Polska — i to przeświadczenie mocno leży w świadomości — nie będzie łatwa. Znajdzie się w niej więcej wolności, ale i więcej odpowiedzialności. Nie rząd będzie odpowiadał za społeczeństwo, lecz społeczeństwo za rząd. Przeminięły czasy, kiedy opozycja doznawała równej stabilizacji w martwocie, jak i sam reżim, spokojna, że i tak nie pozwoli jej zrobić rewolucji. Czekano na dobrą opatrność, opatrność zaś, usuwając sanacyjny system rządzenia, wyrzuciła w próżnię także i opozycję.

W przedwojennej literaturze pełno było takiej słownej rewolucyjności pięknego literackiego humanizmu, nie ponoszącego praktycznej odpowiedzialności za los człowieka. Dziś, kiedy pisarz musi brać na swoje sumienie dolę narodu, literatura emigracyjna bardzo często zwraca się ku owym łatwiejszym, mniej odpowiedzialnym latom. To znamienne: ledwie pięć lat oderwania od ojczyzny, a właściwie już tylu byłoby skłonnych do pisania miniaturowych „Panów Tadeuszów“, jakby tylko przeszłość była ważną, a przyszłość nie należała już do obecnego pokolenia.

Poezja chętniej wznosiłaby nagrobki od kontynuowania pracy „ksiąg pielgrzymstwa“ czy „psalmów przyszłości“. Emigracja romantyczna, za którą zatrzasnęły się drzwi samotnej kłeski, a nadzieja powrotu była, gdy ustały działania zbrojne, ileż niklejsza niż dziś, ciągle jednak uważała przyszłą postać Polski za swoje państwo, za ojczyznę, za którą nadal odpowiada pokolenie emigracyjne: stworzyła ruch umysłowy i polityczny, przewodziła prądom postępowym, zbudowała ideał Polski odrodzonej, dała wielką literaturę i wybitną szkołę historyczną, kształtującą na wiele lat nasze polityczne myślenie. Mimo wszelkich różnic, ten sam prąd niósł ze sobą i poezję Słowackiego, i „Trybunę Ludów“, i sądy Lelwela o gminowładztwie.

Jakaż różnica między tą wizją, tą pracą myślową, dokonywaną choćby na zapas dla przyszłości, choćby na skąd, bez wielkich możliwości szybkiej realizacji, a obecną literaturą, oplakującą kraj dzieciństwa, młodości i lat dojrzałych tak, jakby już był stracony na zawsze. Trudno przewidzieć, jak ciężkie zadania może Polakom postawić historia, ale ów nadmiar żałoby z pewnością osłabia własne szeregi. Ludzie, przybywający z Rosji, mają wiele powodów do naiwnych pojęć o Polsce i bezkrytycznego uwielbiania przeszłości. Ale gdy środowisko londyńskie, które powinno odczuwać ciągłość akcji politycznej, walki, kształtowania idei, ogranicza się do wspomnienia, jest to oznaką, że pokolenie emigracyjne nie umie oderwać się od warunków, w jakich wyrosło, od szlacheckich majątków, zabsobnego mieszczaństwa, urzędniczej stabilizacji, inteligencji błyskotliwej i lekceważącej nurty życia społecznego. Pod tym względem rozbieżność pomiędzy starszym a młodszym pokoleniem ujawnia się nieuchronnie.

Kto wie, czy związek z pewną pomyślnością materialną środowiska nie obciąża tu mi-

mowoli pisarzy, związanych skąd inąd z kołami lewicowymi i podpisujących odpowiednie protesty w obronie różnych pokrzywdzonych, z wyjątkiem protestu w obronie własnego bezrobotnego z baraków na Annopolu, czy chłopca z głodującej wsi. Kto wie, czy na dnie nie tał się obawa lub poczucie bezsilności wobec świeżych form społecznych, w których rola literatury wydzie poza dwudziestoletnie ozdabianie powszedniego życia niepodległości.

Zbiorowy Mickiewicz

Wspólna książka dziesiętnastu autorów emigracyjnych p. t. „Kraj lat dziecińczych“, może potwierdzić podobne przypuszczenia przez swą tendencję, przez dobór współpracowników, przez karety, lokajów, pokojówki, bony, pałace i klucze folwarków, pracowicie umieszczone w tle.

Literacką modę wspomnień podniesiono tu do wysokości założenia artystycznego i niemal ideowego. Jak pokolenie, nie mające własnej koncepcji politycznej, odwołuje się do ducha dzieł, tak samo literatura, kiedy jej nie stać ani na walkę, ani na wieszczenie, poczyną gloryfikować przeszłość, otaczając ją większym sentymentem, niż teraźniejszość i przyszłość.

Wydawcy książki zaprosili do współpracy 19 piór, powierzając im przygotowanie nowego quasi „Pana Tadeusza“. Książkę obliczono na rynek polski w Anglii, co miało poważny wpływ na jej charakter i układ. W Anglii bowiem nostalgia szerzyła się o wiele bardziej, niż na Środkowym Wschodzie. Żołnierze, stacjonowani w Szkocji, nudzili się i zużywali psychicznie w monotonna służbach przeciwnawazynnych, zazdroszcząc egzotycznym legiom Brygady Karpackiej.

Bezczynność, chłód, zima, brak emocji, powolne tempo wojny, stwarzały pożywkę dla dotkliwej tęsknoty. Balzak nazywa nostalgię chorobą „pamięci fizycznej“: oczy potrzebują dawnego widoku, płuca mogą oddychać tylko „tamtym“ powietrzem, tylko tamte drzewa, niebo, obłoki potrafią przynieść ukojenie. „Kraj lat dziecińczych“ miał, jak czarnoksiężnik, ducha dalekiej ojczyzny wywołać w całej krasie. Tak przyobiecano w przedmowie.

Tymczasem zjawilo się co innego. Polska, ale Polska dla większości nieznana, wprowadzie nie obca, lecz i nie ta, którą oni widzieli, którą pamiętali i którą pragnęli ujrzeć z powrotem.

Słowo wstępne przyznaje się do nadziei wydawcy, że, dzięki serii osobistych wspomnień kilkunastu pisarzy, „przed oczami czytelnika-żołnierza przesunie się nie jakaś abstrakcyjna i geograficzna Polska, ale wykrawki Kraju żywego ludźmi i sprawami, a pogodnego tak, jak pogodnie wyda się zawsze po latach każde ludzkie dzieciństwo“.

W tym oczekiwaniu wydawców są trzy błędy: psychologiczny, chronologiczny i społeczny. Po pierwsze bowiem, dzieciństwo nigdy nie zdoła wydać się pogodnym, jeżeli było nieszczęśliwe; po drugie, zaproszeni do współpracy autorzy łączą swoje lata dziecińne z okresem zaborczym, z kształtem Polski geograficznym, politycznym i społecznym, bardzo różnym od Polski lat 1918-1939, wreszcie, po trzecie — zapomniano w tej książce o istnieniu szkoły powszechnej, o ogólnej umiejętności czytania. Pojęcie żołnierz obejmuje i oficera, i szeregowca, projektodawcy zbioru wspomnień przeznaczyli go chyba tylko dla oficerów, i to oficerów, mających za sobą rodzinną zamożność. Ani chłop, ani robotnik, ani rzemieślnik, ani nawet skromny mieszczanin nie odnajdzie tu swego środowiska, tak jak żołnierz, dorastający w Polsce niepodległej, nie zobaczy tu jej rzeczywistego obrazu.

Postanawiając wydanie książki zbiorowej polskich literatów, przyjęto określenie pisarza bardzo szerokie: zaproszono ludzi, mających nawet mało wspólnego z piórem, tak że uchybień całości, zaniedbań, a wskutek tego i sfałszowania odbicia Polski nie można kłaść na karb ograniczonego doboru ludzi.

Na dziesiętnastu współautorów „Kraju lat dziecińczych“ zaledwie czterech czy sześciu jest zawodowymi literatami w najściślejszym pojęciu, reszta zaś to albo publicyści polityczni, albo dziennikarze, a nie brak także i malarza — Zdzisława Czernańskiego, i generała, parającego się jednak więcej szabłą niż piórem — Wieniawy-Długoszewskiego. Są także nazwiska B. Leitgebiera, Karpińskiego — dowód, że potrafiono znaleźć i Wielkopola, gdy tego chciano.

Zato „Kraj lat dziecińczych“ nie dostrzega ani Warszawy, ani Śląska, ani Pomorza. Skarży się Pruszyński w swoim wspomnieniu, że dla jego kraju lat dziecińczych nie znalazło się miejsca w odrodzonej ojczyźnie; mogliśmy powiedzieć odwrotnie: dla naszej ojczyzny nie znaleziono miejsca w „Kraju lat dziecińczych“.

Mackiewicz pisze raczej o Petersburgu, niż o Wilnie, a jeżeli pominąć dwa fragmenty wielkopolskie, ujrzemy dziwaczną geografie, w której „prawdziwa“ Polska leży wyłącznie w krakowskim, w Galicji, na Podolu i południowej Ukrainie naddniestrzańskiej. I być może jeszcze na skrawku Inflant, gdzie w dworze, opisywanym przez Hłakowiczównę, gospodarowały Niemki z Rygi i wychowywano dziecko oddawano niemieckim guwernantom.

Pominięto Polskę etnograficzną na rzecz ziem, rządzonych przez zaborców, leżących poza granicami późniejszego niepodległego państwa i konturowanych chyba linią przedrozbiorową. Młode pokolenie tej Polski nie

W numerze:

R. Fajans: Zza kulis tragedii włoskiej. — W. Rajkowski: Podziemne skarby Bliskiego Wschodu. — K. Grzybowski: O nową suwerenność. — B. Łączkowski: „Nauczył nas Bonaparte“... — Plan Warszawy. — Kolumna angielska. H. Nicolson: Droga niewolników. — E. Roberts: O biblioteki dla oswobodzonej Europy. — M. Browne: Ku jedności europejskiej. — Wśród książek. cep.: Obrona Monachium. — H. S. Dominik: Trzy książki. — D. Falska: „Your M.P.“. — A. Poznańska: Hania. — A. Międzyrzecki: Pokolenie. — Lwów. — ww.: Przegląd polityczny. — T. Zabłocki: Piccadilly na co dzień. — Kronika polska.

Nieprawdziwa literatura

Niewspółmierny z prawdą ostatnich lat obraz Polski został jeszcze przeinaczony w swym aspekcie społecznym. Autorzy wywodzą się co najmniej w trzech czwartych z warstwy szlacheckiej, i to z ziemiaństwa dość zamożnego i osiadłego przeważnie na kresach. Ci, których urodziło miasto, są również szlachtą i „obywatelstwem“, zamieniającym folwark na kamienicę i obywatelstwo wiejskie na miejskie.

Literaturę polską zdobyły w przeszłości głównie nazwiska szlacheckie. Mieszczaństwo, zwykle za pośrednictwem stanu duchownego, dało o wiele mniej autorów, niż na Zachodzie. Ten stan renesansowy i jeszcze XVIII-wieczny ulegał szybkim zmianom w wieku XIX. Inteligencja o szlacheckim pochodzeniu zmieszana się szybko z mieszczaństwem poprzez zbieżenie i małżeństwa. Równocześnie zaś gdy wykształcenie zaczęło się stawać zasadniczym czynnikiem wywyższenia społecznego inteligencja wchłonęła pierwszy dopływ ludzi ze wsi, zwłaszcza w Poznańskim i Galicji, dzięki lepiej postawionej oświacie miejskiej. Tak więc, nie mówiąc o literaturze 1918-1939, pełnej ludzi, wydrwigających się i ze wsi, i z proletariatu miejskiego, już pierwsze dwa dziesiątki XX wieku mają wśród czołowych nazwisk Kasprowicza, Rey-monta, Orkana, a Wyspiański i Rydel świadomie nawiązują związek ze wsią.

W emigracyjnej książce nie ma ani śladu chłopu lub robotnika. Najbliższy jeszcze niższych warstw będzie Zygmunt Nowakowski, którego ojciec jako góral przyszedł do Krakowa i własną pracą dobił się miejsca nauczyciela gimnazjalnego. Zdaje się też, że za swój wyczyn zapłacił suchotami i przedwczesną śmiercią.

W świetle „Kraju lat dziecińczych“ nasza współczesna kultura byłaby kulturą wyłącznie szlachecką, choć właśnie stare nazwiska rodowe nie zapisały się omal że niczym w dziejach dwudziestolecia, poza zjazdem w Nieświeżu i hamowaniem reform społecznych. Nieraz na najwyższych stanowiskach państwowych znajdowali się chłopci lub ludzie, pochodzący z chłopów. Nie trudno też ich znaleźć wśród profesorów wyższych uczelni.

W przewidywaniu podobnych zastrzeżeń wydawcy postarali się zastosować chwiejną zasadą talentyzmu. Istotnie, „książek nie tworzy się tak jak parlamentów, wedle zasad proporcjonalnej równości. Nie douje procentowo, nie oblicza. Pisanie jest sprawą talentu“. Poza tym układnym frazesem i aluzją do powszechnych wyborów kryje się wgardliwa myśl: każdy cham może głosować, ale cham książki nie napisze.

I to jednak obronne założenie zostało w „Kraju lat dziecińczych“ całkowicie zaniedbane; z poetów jest Hłakowiczówna, nie ma zaś ani Wierzyńskiego, ani Słonimskiego, ani Pawlikowskiej, Irena Tuwim zastępuje Juliana, a Stanisław Baliński, tak powołany do napisania wspomnień o Warszawie, musiał zrobić miejsce dla uwagi Antoniego Sobańskiego:

„Jedna rzecz z czasów rosyjskich brakowała mi w Warszawie przez całe 20 lat niepodległości (nie mówiąc o kawiorze i jesiotrze): to prawie nieustający rozkoszny dźwięk dzwonków cerkiewnych.“

Jedynie człowiek całkowicie Warszawie obcy, pozbawiony poczucia historycznego, nie pamiętający czym był sobór na dawnym Placu Saskim, mógł się popisać w podobny sposób. Tenże Sobański wzbogaca książkę autoobserwacją rozwoju psychicznego: „Stajni zawdzięczać jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele“.

Drogi młodości

Dopuszczenie do tak pozerskich i snobistycznych wyznań nie budzi nadziei, by owe pamiętniki literackie pokazały wpływ sztuki i wydarzeń na rozwój przyszłego talentu i krystalizowanie się artystycznych upodobań.

Mówi o tym zaledwie kilku autorów. Pewien związek między dziecięcymi zainteresowaniami a przyszłym zawodem historyka sztuki jest może w doskonałej noweli K. Estreichera o „modzie 1912“. Nie jest to zresz-



Proj. Tadeusz Terlecki

tą głównym celem opowiadania, kreślącego blachy, ale żywy i plastyczny widok ówczesnego Krakowa.

Konsekwentnie przedstawia Olgię Górkę momenty młodości, wywołujące przełomy w sposobie myślenia i urabiające ostateczną skłonność autora: uderzenie w utarty, fałszywy frazes, w panujący banał.

Najbardziej jednak podjął się roli przewodnika po psychice dziecka z lat przed pierwszą wielką wojną Terlecki. Jego obszernie studium należy do najlepszych fragmentów zbiorowego tomu, wywołującego wrażenie w całości tak niekorzystne, mimo że nie brak w nim wartościowych studiów i szkiców, rzucanych z prawdziwym polotem.

Dzieciństwo Terleckiego pełne jest patosu uczuć. Autor miał swój osobisty powód przebywania w świecie niezwykłym i fantastycznym: pasję teatru, poza tym jednak są dwa, wspólne dla jego rówieśników, źródła napięcia wewnętrznego, przenikającego młode lata: to dwie religie — Polski i Boga.

Gdy spojrzeć w genealogię autorów wspomnień, jakże często znajduje się tam ojca w powstaniu, dziada, padającego ofiarą galicyjskiej rabacji lub konspiracyjnego w rewolucji 1848 roku. Pradziadowie walczyli w r. 1830, ich ojcowie szli z Napoleonem — żołnierka jest nieustannym zajęciem Polaka. Tradycja powstańcza, mickiewiczowsko-napoleońska, unosi się nad młodymi latami. Nad wyobraźnią panuje już Wyspiański, przeszłość dawną ogląda się oczyma Matejki, a bliska — poprzez żałobę Grottgera.

Lapidarnie ujął te nastroje Górkę, mówiąc, że jako chłopak marzył o jednym: być powstańcem. Ten polski dzieciak widzi swój przyszły zawód, przyszłą rolę życiową, podobnie jak młodziutka zakochana panienka oświadcza narzeczonemu, że wyjdzie tylko za walczącego z bronią w ręku o Polskę. Byli to późniejsi rodzice Wieniawy-Długoszewskiego: ojciec poszedł do oddziału Czachowskiego, a syn znalazł się pod komendą człowieka, który istotnie mógł nazwać swój zawód słowami: „jestem powstańcem“.

Wraz z Młodą Polską, Żeromskim i reakcją na pozytywizm powracają jakby tchnienie nastrojów mesjanistycznych. Dla młodych Bóg nie był po stronie silniejszych batalionów, lecz po stronie sprawiedliwości. Wiara w Polskę łączyła się z wiarą w Boga, jedno uniesienie obejmowało dwie ekstazy: patriotyczną i religijną, a pewność absolutnej sprawiedliwości żywiła przekonanie o odrodzeniu i zjednoczeniu Polski.

Terlecki oddaje to wszystko z doskonałością obserwacji niemal nużąca, mimo stylizowanego bogactwa opowieści. Prosta i wyrażająca się w wyrazach ambicji świętości do ambicji człowieka dorosłego osiągnięcia najwyższego stopnia czystości artystycznego wyrazu. Ideał moralny wszedł w sferę sztuki.

Własną przeszłość da się opisać w wieloraki sposób: od laboratoryjnej metody Terleckiego, aż do zstąpienia samemu w minione lata, tak właśnie jak to zrobił Estreicher. Inni po prostu opowiadali o warunkach życia, związkach rodzinnych, lub gromadzili drobniaki, odbijając dawne czasy w zwierciadle anegdoty. Nowakowski machnął niedzielnym felieton o Krakowie na 30 stron, mimo woli dając miarę odległej niewspółczesności wspomnień w historii o wilku, co przez debnicki most spokojnie przepaczerował na krakowską rogatkę. Chcieli go pojąć rogatekowi strażnicy, ale okazało się, że przez oszczędność nie mają prawdziwych szabel, tylko rękojeści, przytłoczone do pustej pochwy...

Wieniawa Długoszewski wyłamał się z zobowiązań wobec tytułu książki, pisząc o manewrach 1936 r. Uczynił to dla proboszcza, jakby żywcem wyjętego z tetmajerowskiego „Księdza Piotra“.

Uderza niezwykła szczerść i intymność w wielu wspomnieniach. Niekiedy zamieniają się one w jakąś głośną spowiedź, dokonywaną przed samym sobą, świadczą, jak głęboko tkwią urazy dzieciństwa, skoro nieoczekiwanie drobniaki zajmują główne miejsce w pamiętniku. Gdyby podobne zwierzenia ukazywały się na rynku przedwojennym, zaskakiwałby ich pewien ekshibicjonizm, momenty zbyt osobiste, publicznie opowiadane, o tajemnicach dzieciństwa, które troskliwie ukrywa się w młodości, a których później nikt już nie chce słuchać.

Autorzy, z wielką szkodą dla książki, byli na ogół zdezorientowani; nie wiedzieli, czy pisać o sobie, czy o swych czasach. Wskutek tego rok 1905, legiony, wojna światowa, le-dwie występują w dalekim tle, ci zaś, którzy przybrali ton bardziej osobisty, poświęcają swym przeżyciom tyle uwagi, jakby pisali testament, ostatni list do przyjaciół, ostatni utwór. Jeszcze raz odzywa się w tym martwota emigracji i passeizm jej nastrojów. Tak np. Olgię Górkę kończy swój pamiętnik:

„Teraz, tam gdzie daleko w Polsce, śpi mój właśnie dziś trzyletni wnuczek, Krzys. Dla niego też te słowa o mej młodości napiszę. Podobno są to „słowa młodości“, przeznaczone do druku, a może tak naprawdę tylko długi list, który kiedyś, jakoś, gdzieś dojdzie do miejsca przeznaczenia, zamiast tyłu, tyłu listów — które nie doszły“.

Niewiele jest owej spodziewanej pogody lat dziecińczych... Czasem błysnie dowcip, uśmiechnie się żart, ale częściej musiały się każdy strofować jak Nowakowski.

„Nie! Nie mów o Krakowie dzisiejszym! To nie należy do tematu! Pisz tylko o starym, z czasów, gdy by-

łeś dzieckiem! Włóż sobie knebel do ust! Zapomnij na chwilę, na moment krótki! Zaduś, zataras nogami żal, zagaś go jak — bombę zapalającą!“

Pieniądz i ojczyzna

Stosunkowo najwięcej bez troski znajduje się we wspomnieniach ziemianiskich z Kresów Wschodnich, leżących za linią Zbrucza. Prawdopodobnie dlatego, że po pierwsze — od rewolucji komunistycznej i traktatu Ryskiego dość mieli oni czasu na opiekę nad rodzinnymi stronami, po drugie — życie podolskie czy ukraińskie było znacznie spokojniejsze i dostatniejsze niż w sercu Polski. Nie docierały i nie niszczyły powstania, inteligencji było niewiele, a ziemianiskie możnowładztwo, skłonne do zgody z każdym dworem monarszym, najlepiej się tam zachowało.

Kongresowicy tracili majątki przez działalność polityczną, kresowiaci, powiększając swoje majątki, uważali, że najlepiej służą ojczyźnie. Jako klasa posiadająca stanowili w sensie społecznym konieczne oparcie dla carskich rządów, stąd też i pewne względy u władz rosyjskich i zrozumienie bogatych Polaków, że policjant jest pożyteczną instytucją.

Od czasu do czasu bujała kresowa natura poniosła tego i tamtego panica ku rewolucyjnym mrzonkom i trwonieniu ojcowskich pieniędzy na łapówki za idealizmy synacka, ale na ogół patrzano z niechęcią na gorączkową aktywność centrum kraju, gorsząc się „egzaltowanym patriotyzmem“. Mieli kresowiaci poczucie, że robią dla Polski i więcej, i spokojniej, trzymając mocno swe majątki w garści, pilnując chłopów w robocie i ucząc dzieci dobrej francuszczyzny. Hasło obrony polskiego stanu posiadania zamieniono się w prosty materializm i podstawę dla reakcyjnych poglądów, odpowiadając instynktom handlowym szlachty na Ukrainie. Dbano więc o „polską“ ziemię, zdobywano kamienie w Kijowie w „polskie“ ręce, stawiając i Panu Bogu świeczkę, i diabłu ogarek.

Wschód i Zachód

Wszystko to znakomicie syciło antagonizm społeczny między polskim właścicielem a ukraińskim (wtedy mówiło się: ruskim) chłopem, wyzyskiwany od razu przez zaborców. Dwory były polską siecią szeroko rozrzuconą, ale luźną, na ziemi ukraińskich, rusińskich, czy litewskich wsi. Dla miejscowego chłopaka pojęcie „pana“ łączyło się z pojęciem „Polaka“, a zawiść społeczna była gotowa każdej chwili przemienić się w nienawiść narodową. Nowe nacjonalizmy, rodzące się w środkowej Europie, tym się karmiły i temu też zawdzięczamy utratę ziem, z którymi związek uczuciowy społeczeństwa polskiego przed rokiem 1921 był jeszcze bardzo silny.

Kiedy zawierano pokój ryski, dzieci, chowane przez historię przedrozbiorową, z goryczą dowiadywały się o oddaniu Mińska, będącego dla nich równie polskim miastem, jak Lwów i Wilno, albo o pozostaniu Kamieńca poza granicami Polski. Od tego czasu, pamiętam, my, dzieci, przestaliśmy uważać Piłsudskiego za wielkiego wodza i koniec wojny r. 1920 wydawał się nam przegrana...

Była to ostatnia przegrana w tym znaczeniu, że załamała się całkowicie plan Piłsudskiego. Odwrót kijowski zdecydował, że odradzająca się Polska nie będzie już państwem trzech narodowości, tylko państwem etnograficznym. Tę ostatnią zasadę chcieli dyktować w chwili, gdy wojska czerwonej rewolucji stały pod Warszawą, bitwa warszawska zmieniła sytuację o tyle, iż powstało państwo z licznymi mniejszościami narodowymi, po czym w jednym województwie wschodnim dogorywała nieaktualna polityka Piłsudskiego, podczas gdy w drugim inny wojewoda przeprowadzał pacyfikację.

Liczne ziemianstwo i inteligencja polska, ewakuowana z Kresów i Białorusi, patrzyła na to z goryczą. Przynieśli oni ze sobą kresowe sentymenty i zgoda odmienne wyobrażenia o odrodzonego państwa. Państwo zaś pozostawało w naturalny sposób pod wpływem ideologii środkowej i zachodniej części Polski, przywykłej do walki z wszelkimi elementami niepolskimi. Kongresówka nie miała Ukraińców ani Białorusinów, tylko narzuconą ekipę moskiewskich wysłanników, musiała dążyć do ich usunięcia. Znowuż Żydzi przeważali w handlu; tylko część żydostwa w tej dzielnicy, ze zasymilowaną inteligencją na czele, wyznawała politykę propolską — było wśród nich wielu dzielnych i zasłużonych sprzymierzeńców sprawy polskiej, większość jednak stała po stronie rosyjskiej, do czego przyczyniła się też i antysemityzm, wyznawany przez część społeczeństwa polskiego.

Wreszcie Wielkopolska miała jeden żywioł obcy, sięgający i fizyczną wprowadzany na jej ziemię: Niemców. Walka z Niemcami wytworzyła ambicję odniemczenia szerokiego pasa Pomorza, odzyskania Śląska. To właśnie zostało zrealizowane, wróciło Pomorze, część Śląska, ilość zaś wschodnich ziem, mieszanych narodowościowo, była zbyt szczupła i zbyt nieistotna wobec wielkiego obszaru Ukrainy, by dać podstawę dla polityki, jakiej życzyłoby sobie Polacy, wyparć ze wschodu Rzplitej przez wojnę i rewolucję.

Główny więc prąd polityczny poszedł u nas z Zachodu, po zamachu majowym linia Piłsudskiego była zygawkowata, ostatecznie jednak i Piłsudski i jego następcy realizowali przy pozorne wschodnich haseł zachodnią politykę Dmowskiego.

W młodszym pokoleniu program wschodni znów odzywał, do tej grupy należał także i Ksawery Pruszyński, piszący w „Kraju lat

dziecinnych“, że z dzieciństwa, spędzonego na Podolu, przetrwało w nim „pojowanie Rze-czypospolitej jako wielonarodowego imperium“. Potomkowie dawnych kresowych rodzin ziemianiskich uważają, że szlachta polska na Wschodzie była stróżami tego programu, broniła go i realizowała przez zgodne współżycie z licznymi narodami, osiadłymi na wielkiej nizinie, łączącej Bałtyk z morzem Czarnym. Ten pogląd przebiega też z emigracyjnej książki, mimo melancholijnego zastrzeżenia, że feudalna struktura tych ziem nie mogła wytrzymać burzy dziejowej.

Pan i chłop

Tymczasem tu właśnie tkwi sedno rzeczy; w warunkach społecznych i gospodarczych lat przedrewolucyjnych i przedwojennych. Polskość na Kresach Wschodnich leżała na wierzchu jak śmietana — była przez wieki warstwą najcenniejszą, przodującą kulturalnie, występującą w obronie terytorium i będącą oparciem dla państwowej władzy.

Była oparciem także i dla rządu rosyjskiego, choć to brzmi paradoksalnie. Ale rząd carski dobrze zdawał sobie sprawę, że wielka własność ziemska będzie go popierać, właściciele zaś majątków umieli cenić szybkie aresztowanie burzycieli porządku społecznego. Wreszcie — na Kresach zostało dawne możnowładztwo i tak, jak wszędzie, wyżywało się w ambicjach związanych z tytułami, dworskimi urzędami i blaskami monarszego dworu.

Naturalnie, że pilnowano pozostania majątku w polskich, czytając: w rodzinnych rekach. Szczycono się dobrym nazwiskiem polskim, portretem hetmana czy wojewody na ścianie, obok tego uważano się za Europe, mówiąc po francusku, czytając Balzaka, dyskutując nawet o saint-simonistach i prenumerując „Mercure de France“. Nikomu jednak nie śniło się brać zachodnich nowinek na serio i stosować ich praktycznie; w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej dystans między życiem społecznym Europy Zachodniej a rozległym nadniestrzańskim stepem był co najmniej stuletni.

Żywy i barwny opis tych ziem i czasów przynosi Pruszyński, analizując stosunków roz-wija Jerzy Stempowski, dając jeden z najcenniejszych wkładów do zbiorowego dzieła. (Czemuż zapomniano o Melchiorze Wańkowiczu, tak znakomicie obrazującym życie polskie na Litwie i północnej Ukrainie?!).

Owym ziemiom wielonarodowym, nieukształtowanym etnograficznie, opóźnionym społecznie odpowiadało tolerancyjne i federalne państwo polsko-litewsko-ruskie. Tej jednoczącej działalności zabrakło, kiedy przed chłopem zjawiała się kwestia narodowościowa i kiedy nie wystarczyło już poczucie wspólnej ojczyzny, zaszczerpione szlachcie, liczącej się kiedyś w pojęciu politycznym za cały naród. Austriacy uświadomili Ukraińców, aby ich rzucić przeciw Polakom, Rosjanie zaś sprzy-jali różniczkowaniu się narodowemu, w nadziei, że tym łatwiej wszystkich przerobią na Rosjan. Polskość zaś była dla Rosji wskutek jej jednoczącej, atrakcyjnej siły, najgorszym niebezpieczeństwem.

Jeszcze w drugiej połowie XIX w. przedziały między współzyczącymi narodowościami nie były głębokie. W ludzie ledwo zaczynały się uświadamiać, w warstwach wyższych trwało poczucie dawnych tradycji, skoro na stołcu prezydenckim Krakowa zasiadał Rusin, Mikołaj Żyblikiewicz. Nosił polski kontusz, obrządku był grecko-katolickiego, a nazwisko pochodziło od... niemieckiego Siebla.

Poczucie narodowe zmieniało się często z pokolenia na pokolenie. Ojciec był Polakiem, syn uważał się za Ukraińca, wnuk wracał do polskości lub w pogoni za karierą stawał się Rosjaninem. W tym wolnym wyborze narodowości, wewnętrznym psychicznym plebiscycie, rosyjskość pociągła wielkością państwa i możliwościami materialnymi, ideologia ukraińska grała na nacjonalizmie i budziła nienawiść do „panów“ Polaków.

Czym pociągła polskość? Wysoką kulturą, lecz to było tylko dla inteligencji, ewentualnie dla mieszczan. Chłopska wieś rozumowała, że trzeba najpierw zostać „panem“, żeby być Polakiem. Tylko że wtedy lepiej się już opacało zostać Rosjaninem. Polskość, strzegąca majątków, stała w miejscu, czyli cofała się, skoro olbrzymie podglebie ludowe, wielki rezerwuuar ludzi dla wszystkich trzech narodowości zaczynał się deklarować po stronie ukraińskiej czy rosyjskiej.

Trudno zlekceważyć ów moment gospodarczy, antagonizm chłopów i dziedziców, skoro doprowadzał on i w Polsce do krwawych pórachunków i dawał powstanie zarówno ręką chłopską, jak i szlachecką. Chłop zdradzał i wydawał powstańców, a szlachta za cenę poparcia „białych“ dla powstania paraliżowała akcję społeczną „czerwonych“.

Szlachta często nie chciała dostrzec chłopów, ani zajmować się jego narodowością; jeszcze dla młodej IIakowiczówny służba i chłopci przedstawiają się jako „niższe zjawy“. Ten błąd nie został wykorzystany, gdy grupa rządząca na całej społeczność patrzyła w podobny sposób przed r. 1939, gdy do dziś dnia, sądząc po „Kraju lat dziecińczych“, uważa się groźniejszą szlachecką za patriotyczną walkę, nie widząc, że należenie Polaków do warstwy posiadającej, a innych do warstw upośledzonych gospodarczo i społecznie, było przekleństwem polskiej polityki na Wschodzie.

Kresowa szlachta podsycała próbę Piłsudskiego odzyskania tych ziem. Emigracja polska z Ukrainy głosiła hasło federalcyjne, ruszając wyprawą kijowską, jakby nowa ekspedycja szlachecka. Obiecywała ukraińskiemu chłopu niepodległość; rewolucja bolszewicka

przrzekała ziemię wszelkiej biedocie — i... zwyciężyła. Konserwatyzm społeczny podciął plan Piłsudskiego, tak samo jak podcinał i dawne próby porywania ludu do akcji politycznej. Jedną to linią wiedzie od lat 1830—1831, kiedy chłop wreszczał: „A mnie wciornoci do tego!“ (Tetmajer), rzucał szablę i uciekał z bitwy — aż do r. 1863, aż do nieudanego werbunku do armii Petlury, ba, nawet do zaprzepaszczonej polskiej reformy rolnej.

Nie wystarczy tolerancja narodowa, tak chwalona w „Kraju lat dziecińczych“, potrzeba nadto zmian społecznych. W cieniu, poza idylliczną zgodą Polaka, Ukraińca i Żyda, stał na Wschodzie moskiewski policmajster. Ledwie go zabrakło, ledwo Kiereński nie potrafił na niego zagwizdać, zrabowano majątek i dobrze, jeśli właściciel zdołał ująć z życiem.

Romantyczne kiecki

Owe tolerancyjne, federalcyjne usposobione, arcy-patriotyczne ziemianstwo kresowe dziwnie niebohatersko wygląda w opisach Sobaniańskiego i Zbyszewskiego. Poza demonstracyjnym wstrzymywaniem się od stosunków z Rosjanami, w czym było zresztą więcej poczucia wyższości rasy krwi, niż patriotycznego oburzenia, leżały zagadnienia istotne: ceny pszenicy i — przed r. 1863 — wybór marszałka powiatowego. Sobaniański marzenia o Ukrainie nazywa „tęsknotą istot miernych, tęskniących właściwie za dobrobytem i władzą, które były ich udziałem w tym kraju miodem, mlekiem i słońcem płynącym“.

Jakże można było pozyskać dla nas tę ziemię za cenę dość znacznych ograniczeń materialnych, jeżeli cały sentyment to „głód dobrobytu, przyrodziany w romantyczne kiecki kreacji Wincentego Pola“. Sam zresztą Sobaniański jest nieodrodnym synem swej warstwy w zdaniu o „niszczycielskiej nienawiści reformy rolnej“.

Zamyka książkę Karol Zbyszewski do-sadną satyrą na tych dziedziców jagiellońskiego ducha, co za arcy-polskość uważali kupowanie kamienie w Kijowie, handel pszenicą, poganianie chłopów i poprawianie rasy miejscowych dzielek. Ojciec Zbyszewskiego cieszył się, że syn nie ma „skłonności do polityki“, za mądrzejszą robotę uważał rentowne gospodarstwo. Podczas wojny kupił nowy majątek na Podolu, parę kamienie, zasiadał do wili i 18 potraw i wzdychał na ciężkie czasy. Czekał powrotu lepszych, któreby pozwoliły znowu jeździć na południe „przeważnie do rulety w Monte Carlo, dla poratowania zdrowia“. Cara uważano za „stróża majątków, wcale nie mieli zamiaru wymawiać mu posady“, toteż Sobaniański zryma się na Warszawę z r. 1905 i czasy „wolnościowe“.

Być może, że w całym splocie kresowych zagadnień zaznaczał się rezultat tego, że szlachta polska w ciągu wieków szła w znaczenie głównie przez pieniądze. Rzeczpospolita Wawów i Sasów już była republiką szlacheckiej burżuazji. „Prywata“ — słowo używane tak często w określaniu degeneracji społeczeństwa szlacheckiego, dałoby się zsynonimizować przez „pieniądz“.

Kijów—Wilno

Mimo tego wszystkiego kresowiaci uważają się za „arcy-Polaków“. Sobaniański mówi o pogardzie dla mieszczańskiej Kongresówki i wrogim nastawieniu wobec Warszawy „dziecka z kresowego pałacu“, Mackiewicz pisze „jak Polska od nas odejdzie, przestanie być Polską“. „Cat“ myślał tu o Wilnie, tak dziś zagrożonym. Przedtem myślano podobnie o Mińsku czy Kijowie.

Dlatego też jest w tym zdaniu wiele błędów i równie wiele racji. Zbyt wysoka i mocna jest polska kultura narodowa, zbyt silny patriotyzm i zbyt twarda ludowa masa w rdzenie polskich ziemian, by miały one zniknąć pod zalewem jakiegokolwiek fali, czy to germanńskiej, czy rosyjskiej. Ale równocześnie Polska ograniczona do jednego narodu, zdystansowana w misji niesienia cywilizacji, nowoczesności i dobrobytu — przestaje być ważnym czynnikiem rozwoju Europy, spada do rzędu kraiku, o którym będą decydować inni. Taka Polska jest już istotnie inną Polską, i o tyle Mackiewicz ma rację. I jeżeli nie znajdzie ona nowych dróg i kierunków federalcyjnych, jej historia będzie odtań historyą partykularza.

W syberyjskich więzieniach, w tundrze za drutami, spotykało się czasem — jak straszliwe widmo i jak złą wróżbę — tych, którzy uważali za swoją misję pozostać na miejscu i których zmiażdżył nowy porządek. Nie potrafili wczasy przeciwstawić mu własnej reformy i wizji przyszłości. W dużej mierze nie mogli, nie mając własnego państwa. Następne pokolenie miało własne państwo i powtórzyło poprzednie błędy.

Główny konflikt 20 lat niepodległości symbolizują u nas nazwiska: Dmowski i Piłsudski. Rewindykacja Dmowskiego zwracała się na zachód, rewindykacja Piłsudskiego — na wschód.

Dmowski, oparty na stanie średnim Wielkopolski, na związku mieszczaństwa ze szlachtą, był demokratą. Demokratą dla swoich, autokratą dla obcych. Piłsudski chciał być demokratą dla obcych i w końcu musiał stać się autokratą dla swoich, by posiadać władzę.

Demokracja jednak jest niepodzielna: albo się rozprzestrzenia, albo ginie. Federalcjonizmowi Piłsudskiego zabrakło demokracji, demokracji szerszej niż demokracja Dmowskiego. W istocie bowiem rzeczy obaj byli konserwatystami w obliczu nowych czasów. Ileż udało im się zachować dla następnego pokolenia?...

Zdzisław Broncel.

ROMAN FAJANS

ZZA KULIS TRAGEDII WŁOCH

W wyzwolonej przez Aliantów części Włoch ukazały się ostatnio trzy publikacje, które wzbudziły ogromne zainteresowanie wśród Włochów i sprzedawane są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Są to: 1) tekst przemówienia, wygłoszonego przez marsz. Badoglio do oficerów włoskich w dniu 8 września 1943 r.; 2) ogłoszony przez dziennik włoski „Il tempo” protokół obrad w Pałacu Weneckim w dniu 15 października 1940 r., które zakończyły się powzięciem ostatecznych uchwał w kwestii napaści na Grecję i 3) broszura p. t. „Jak upadł Mussolini?”, wydana w r. b. w Bari przez „Messaggerie Meridionali”. Owe trzy publikacje rzucają wcale dokładne i bardzo ciekawe światło na wydarzenia zakulisowe, jakie miały miejsce we Włoszech między czerwcem 1940 r. i lipcem 1943 r. Ponieważ przebieg tych wypadków był dotychczas mało znany i zmacony został przez powódz fantastycznych i niedorzecznych plotek, nie od rzeczy będzie zapoznać czytelnika polskiego z takim ich obrazem, jaki wyłania się z owych publikacji.

Zaczniemy od tragicznych dni czerwca 1940 r. Jaki był stan wewnętrzny Włoch w chwili przystąpienia ich do wojny i potem? Odpowiedź na to pytanie daje marsz. Badoglio w swym przemówieniu z 8 września 1943 r. Stwierdza on przede wszystkim, że „w 1936 r. Włochy osiągnęły maximum swych aspiracji. Zdobyły imperium i, gdybyśmy byli pozostali neutralni, stalibyśmy się jednym z najpotężniejszych i najbardziej respektowanych narodów”. Słowem tym przeżył jednak najzupełniej przerażający obraz zgnilizny wewnętrznej Włoch faszystowskich, jaki tenże marsz. Badoglio odmalował w tym samym przemówieniu. Przytacza on tylko parę przykładów, lecz wystarczają one najzupełniej. Mówiąc np. o wielkim włoskim towarzystwie naftowym A.G.I.P., stwierdza: „Towarzystwo to miało 90 milionów lirów „deficytu” i nie znaleziono nawet dokumentów buchalteryjnych, które mogłyby deficyt ten uzasadnić. G.I.L. (Młodzież Liktorska) kosztowała państwo 1 miliard 700 milionów lirów rocznie, O.N.D. (Dopolavoro) — 1 miliard 200 milionów. Ministerstwo Kultury Ludowej stało się po prostu domem publicznym. Miało ono na swych usługach nieograniczoną ilość pań rzymskich, z uposażeniami, sięgającymi nieraz do 8-10 tys. lirów miesięcznie, i spełniających funkcje, których charakter mogą panowie łatwo odgadnąć... Panie te nie zadawały sobie nawet trudu podejmowania osobistej tych pensji; wystarczyło najzupełniej posyłać w tym celu służącą... Oto dla czego weszliśmy do wojny, uzbrojeni w karabiny z 1891 r.”

„Minister skarbu — stwierdza dalej marsz. Badoglio — zakomunikował mi, że deficyt państwowego Włoch wynosił 650 miliardów lirów i że podczas gdy powinniśmy byli mieć w obiegu 14 miliardów lirów w banknotach, mieliśmy ich w rzeczywistości... 150 miliardów. Każde ministerstwo posiadało w swym budżecie specjalny dział, zwany „Fundusze dyskrecyjne”, z którego nie było zobowiązane zdawać rachunków. Wszelkie więc wydatki, które zachować chciano w cieniu, zapisywano z reguły do tej właśnie rubryki... Nie umiałbym powiedzieć wam dokładnie, ile miliardów roztrwoniono w ten sposób bez najmniejszego uzasadnienia. Nie zdołałszy odnaleźć żadnych rachunków na te sumy”.

Jak widzimy, obraz istotnie koszmarny i najprawdopodobniej trafny. Jeśli jednak było naprawdę aż tak źle, jak nam to przedstawia marsz. Badoglio, to jakże równocześnie Włochy mogłyby były stać się „jednym z najpotężniejszych i najbardziej respektowanych narodów świata”, gdyby pozostały neutralne? Czy jedno nie wyklucza drugiego?

Ale idźmy dalej. Marsz. Badoglio opowiada następnie ciekawe rzeczy o rozmowie, jaką miał z Mussolinim w dniu 2 czerwca 1940 r., t. j. na 8 dni przed przystąpieniem Włoch do wojny. „Gdy 2 czerwca — relacjonuje on — Mussolini wezwał mnie, by zakomunikować mi, że 10-go przystąpimy do wojny, zawołałem: „Czy nie wiadomo panu, że nie posiadamy nawet koszuł dla naszych żołnierzy?... Nie mówię już o mundurach; nie ma nawet koszuł...” Mussolini miał odpowiedzieć na to: „Nic nie wiem... Wiem tylko, że trzeba mi paru tysięcy zabitych, by móc zasiać przy stole konferencji pokojowej, u boku zwycięzców”. „Oto — dodaje Badoglio — proroctwo wielkiego człowieka, sławnego „wodza kraju”, człowieka, który przewidywał wówczas zwycięstwo za... dwa lub trzy miesiące...”

Z tego wszystkiego wynikałoby, że marsz. Badoglio był zdecydowanie przeciwny przystąpieniu Włoch do wojny, że oponował przeciw temu szaleństwu i że zdawał sobie sprawę z istotnego stanu armii i finansów włoskich. Tymczasem o czymś wręcz odmiennym świadczy drugi spośród cytowanych wyżej dokumentów, a mianowicie ogłoszony przez „Il Tempo” protokół posiedzenia w Pałacu Weneckim w dniu 15 października 1940 r., na którym to posiedzeniu postanowiona została wyprawa przeciw Grecji. W posiedzeniu tym brali udział: Mussolini, Ciano, Soddu, Jacomini, Roatta, wicehrabia Prasca, ppłk. Trombetti (sekretarz) i... marsz. Badoglio. Z protokołu wynika, że Badoglio, który kilkakrotnie zabierał głos z własnej inicjatywy, lub

odpowiadał na pytania Mussoliniego, nie sprzeciwiał się ani jednym słowem projektowanej wyprawie. Nie tylko nie znalazł on słowa potępienia dla nikczemnych wypowiedzi i haniebnych prowokacji, jakie opracowywano tego dnia w gabinecie Mussoliniego, lecz oświadczył nawet m. inn.: „Jeśli pragniemy kapitulacji Grecji, musimy okupować cały kraj. Potrzeba w tym celu 20 dywizji, podczas gdy w Albanii mamy ich tylko 9 i jedną dywizję kawalerii. W tych warunkach nie ulega wątpliwości, że zużyjemy na te operacje co najmniej trzy miesiące”. Podczas tejże dyskusji marsz. Badoglio oświadczył ponadto: „Dwa czynnikowie powinni być przede wszystkim wzięte pod uwagę: czynnik grecki i pomoc angielska. Całkowicie podzielam opinię, że należy wykluczyć możliwość lądowania Anglików. Egipt jest dla nich znacznie ważniejszy, niż Grecja, i nie posyłać oni chętnie konwojów wojskowych na morze Śródziemne. Jedyną możliwą formą pomocy pozostaje lotnictwo. Tej formie interwencji można by jednak również zapobiec, synchronizując akcję przeciw Grecji z atakiem w kierunku Mersa Matruh. W tym wypadku prawdopodobieństwo, by Anglicy wycofali samoloty swe z Egiptu i pozostali je do Grecji, będzie bardzo niewielkie. Można urządzić się w taki sposób, by Graziani był również gotów na 26-go (w tym dniu, jak zakomunikował zebraniem Mussolini, rozpocząć się miała inwazja grecka)”.

Sugestia marsz. Badoglio co do synchronizacji akcji przeciw Grecji z atakiem przeciw Anglikom w Egipcie została przez Mussoliniego przyjęta. Jak widać zatem, Badoglio nie tylko nie przeciwstawiał się napadowi na Grecję, lecz należał nawet do głównych autorów planu tego najazdu.

W czasie owego zebrania w Pałacu Weneckim wyrażane były opinie, świadczące o tym, jak dalece uczestnicy jego nie zdawali sobie sprawy ani z istotnego stanu armii włoskiej, ani z rzeczywistości greckiej. Na zapytanie Mussoliniego co do greckiego „morale”, Jacomini oświadczył: „Wydaje się, że Grecy są w wysokim stopniu zdemoralizowani”, Ciano zaś dodał: „Istnieje tam wyraźny rozłam między ludnością a klasą rządzącą plutokratycznych polityków, którzy podsycają ducha oporu i podtrzymują tendencje anglofilskie kraju. Jest to odłam ludności bardzo bogaty, lecz całkiem nieliczny, podczas gdy masy są obojętne wobec wszystkiego, nie wyłączając naszej ewentualnej inwazji”. O stanie ducha wśród wojsk włoskich w Albanii wicehrabia Prasca oświadczył: „Duch w wojsku naszym jest bardzo dobry i entuzjazm żołnierzy doszedł do punktu szczytowego. Nigdy nie miałem powodów do zalety się na nasze oddziały w Albanii...” Wszyscy, którzy pamiętają jeszcze tragiczny dla Włoch przebieg kampanii greckiej, mogą zdać sobie łatwo sprawę z tego, jak bardzo opinie te, zarówno w kwestii morale greckiego, jak i na temat ducha wojsk włoskich, dalekie były od istotnego stanu rzeczy.

Historia upadku Mussoliniego przedstawiona jest bardzo szczegółowo we wzmiankowanej już, wydanej w Bari broszurze p. t. „Come cadde Mussolini” (Jak upadł Mussolini). Oto, w skrócie, przebieg tych wydarzeń:

Napężenie wewnętrzne we Włoszech spotęgowało się ogromnie po udanym lądowaniu alianckim na Sycylii. Coraz liczniejsi byli ci, którzy rozumieli, że wojna jest dla Włoch nieodwrotnie przegrana. Groźna sytuacja, jaka wytworzyła się wskutek klęsk na Sycylii, skłoniła Mussoliniego do spotkania się z Hitlerem w Feltre i do naglących apeli o materiał wojenny, skierowanych pod adresem niemieckiego sprzymierzeńca. Duce oświadczył Hitlerowi, że nie potrzeba mu żołnierzy, którzy posiadają dosyć, lecz broni. Führer powtórzył w odpowiedzi znaną już Włochom tezę niemiecką, że Niemcy samej broni nie dostarczą, lecz gotowi są wysłać do Włoch swe dobrze uzbrojone i dobrze zaopatrzone dywizje. To stanowisko niemieckie uzasadnione było zadawaną nieufnością, jaką Rzesza żywiła w stosunku do włoskiego sojusznika. Dowództwo niemieckie wychodziło z założenia, że daleko bezpieczniej będzie okupować Włochy i trzymać je w ten sposób w garści, niż dawać cenny materiał wojenny w ręce niepewnej armii włoskiej. Spotkanie w Feltre miało jednak bardzo burzliwy przebieg. Mussolini uniósł się i wyraził swe niezadowolenie w niezwykle gwałtownej formie. Dwaj dyktatorzy rozstali się w niezgodzie. Rozmowy ich zakończyły się impasem.

Natychmiast po powrocie do Rzymu Mussolini znalazł się wobec niepokojącej sytuacji. Na wezwanie króla generał Ambrosio, który brał udział w rozmowach w Feltre, złożył monarsze dokładne sprawozdanie z ich przebiegu. Odpadła tedy wszelka możliwość koloryzowania. Król był dobrze poinformowany o istotnym stanie rzeczy. Większość członków Wielkiej Rady Faszystowskiej domagała się natychmiastowego jej zwołania. Na skutek tych wszystkich okoliczności Duce zdecydował się wyznaczyć zebranie Rady na dzień 24 lipca. Na wieść o tym obie grupy opozycyjne, Badoglio i Grandiego, zaczęły, każda na swoją rękę, czynić przygotowania do obalenia Mussoliniego. Grandi przygotował z góry swą rezolucję i uzyskał na niej, jeszcze przed posiedzeniem, podpisy dwudziestu członków

Rady, m. inn. Ciano. Mussolini był zatem już wówczas w mniejszości i upadek jego stał się po prostu kwestią godzin. Według jednak koncepcji Grandiego i jego stronników upadek Mussoliniego nie miał być równoznaczny z odejściem faszystów od władzy. Faszystom miał pozostać nadal, tylko że na czele rządu stanąć miał Dino Grandi.

„Wbrew temu, co pisano na ten temat — stwierdza broszura — owego wieczoru, 24 lipca, Mussolini nie objawiał żadnej depresji, ani nie był jeszcze zwyciężony. Był on w pełnym posiadaniu całej swej siły, autorytetu, środków perswazji i wszystkich możliwości przeciw opozycji swych byłych współpracowników”. Zebranie Wielkiej Rady trwało prawie że nieprzerwanie przez 10 godzin, od późnego popołudnia soboty, 24 lipca, do niedzielnego poranka, 25 lipca. Krótka przerwa zarządzone tylko raz jeden: około północy. Dyskusję poprzedziło obszernie sprawozdanie Mussoliniego o położeniu ogólnym i o spotkaniu w Feltre. Pierwszy poważniejszy incydent wydarzył się w chwili, gdy Mussolini, mówiąc o inwazji Sycylii, zaznaczył, że spodziewał się silniejszego oporu sił włoskich. Uważając słowa te za obrazę żołnierza włoskiego, quadrumvir, marsz. De Bono, oświadczył, że nie pozwoli mówić w ten sposób o armii. „Ty chyba jesteś najmniej powołany do bronięcia tej armii”, — odparł Mussolini i dodał, że przecież nie kto inny, jak De Bono, doprowadził wojska włoskie w pierwszym okresie kampanii abisyńskiej nad brzeg przepaści. Następny incydent wybuchł w chwili, gdy Mussolini omawiał wyniki spotkania w Feltre. Odezwał się wówczas hr. Cesare Maria de Vecchi, były ambasador włoski przy Watykanie. „Od 1934 r. — zawołał — przewidywałem, że doprowadzi pan wszystko do ruiny...” Po tym drugim incydencie zapanował względny spokój i Duce zdołał zakończyć swe długie exposé.

Następnie przedstawiano rezolucje. Było ich trzy: pierwsza, hrabiego Grandi, podpiśniana z góry przez dwudziestu członków Rady, wzywała Mussoliniego, by zwrócił się do króla z prośbą o przejęcie efektywnego dowództwa sił zbrojnych i wszelkiej inicjatywy politycznej (chodziło tu o pozbawienie Mussoliniego władzy wojskowej i cywilnej i złożenie jej w ręce monarchy). Druga, przedstawiona przez Roberta Farinacci, proponowała oddanie dowództwa nad włoskimi siłami zbrojnymi w ręce Niemiec. Była ona poparta przez samego tylko wnioskodawcę. Trzecia, wniesiona przez sekretarza partii, Carlo Scorza, i poparta przez sześciu innych członków Rady, wyrażała Mussolinemu zaufanie, ale zawierała równocześnie dość ostrą krytykę pod jego adresem.

Po wniesieniu rezolucji pierwszy zabrał głos hr. Grandi i zaczął uzasadniać wniosek swój i swej grupy. Od tej chwili atmosfera zebrania stawała się coraz bardziej naprężona, a incydenty mnożyły się coraz częściej. Bezustannie wybuchały gwałtowne polemiki między Mussolinim a jego oponentami. W pewnym momencie Duce krzyknął Grandiemu: „Ile razy starałeś się u mnie o tytuł szlachecki...?” Po Grandim zabrał głos Ciano, który poparł wniosek swego przedmówcy i oświadczył, że był zawsze za polityką pokojową. Mussolini przerwał mu, wołając: „Kiedy ten wszedł do mego domu, zdradził mnie, zanim zapadł jeszcze pierwszy wieczór...”

Dyskusja zaoigniała się coraz bardziej i wzajemne ataki stawały się coraz gwałtowniejsze. Nie żałowano sobie nawzajem wyrzutów i oskarżeń. W pewnej chwili członek Rady, minister Pareschi, zwalił się nagle, zemdlony, na ziemię. Spotęgowało to jeszcze ogólny tumult. Gdy wezwany do telefonu prezes faszystowskiego syndykatu przemysłowców, Balella, wyszedł na chwilę z sali obrad, Mussolini, sądząc, że ulotnił się on z zebrania, rzekł: „Zdaje się, że będę zmuszony aresztować wszystkich tego rodzaju panów...” Powrót Balelli na salę zaoignął jeszcze kłótnię. Wybuchła awantura o tekst jednego z przemówień Mussoliniego, które rozpowszechnione zostało jakoby publicznie przed jego wygośzieniem. Widząc, że sytuacja Mussoliniego jest beznadziejna, Farinacci zrzeszygnował z obrony swego wniosku i, korzystając z chwili nieuwagi pozostałych członków Rady, wyslisnął się z sali posiedzeń, poczem schodami, zarezerwowanymi dla Duce, wy dostał się na ulicę. Po paru godzinach nie było go już w Rzymie. Tymczasem posiedzenie w pałacu Weneckim kończyło się wśród wzajemnych kłótni i obelg. Gdy po zerwaniu obrad Ciano zjeżdżał windą na dół, towarzyszący mu Tringali-Casanova rzekł: „Młodzieńcze, popełnił pan zbrodnię, a za takie czyny płaci się krwią. Życzę panu wszystkiego najlepszego, nie sądzę jednak, by mógł pan żyć długo”.

Podczas gdy Mussolini, przegłosowany i zwyciężony, odjechał do siebie, pozostali członkowie Rady zaczęli myśleć o własnym ocaleniu. Równocześnie król i Badoglio czynili ostatnie przygotowania do zamachu stanu. W niedzielę, 25 lipca rano, Grandi i Federzoni zjawili się w willi Savoia, będącej prywatną rezydencją króla, i zreferowali monarsze przebieg posiedzenia Rady, komunikując mu, że najwyższą władzą wojskową i cywilną złożona została w jego ręce. Król dał swym gościom wymijającą odpowiedź, przyczem zaznaczył, że musi porozumieć się z Mussolinim.

Tego samego jeszcze przedpołudnia minister dworu, Acquarone, zatelefonował do Mussoliniego i oświadczył mu, że król pragnie go widzieć. Mussolini odparł, że nazajutrz przywieźć ma królowi do podpisu szereg aktów administracyjnych, będzie więc okazją do rozmowy. Po niecałej godzinie minister Acquarone zadzwonił po raz drugi, domagając się natychmiastowego przybycia Duce i zaznaczając, że wezwanie królewskie pozostaje w związku z posiedzeniem Rady. Wskutek jakiegoś nieporozumienia, Mussolinemu zdawało się, że król domaga się odeń przybycia wraz z kilkoma członkami Rady, odparł więc, że taka zbiorowa audyencja odbędzie się nazajutrz, w poniedziałek, i że nie zdąży w żaden sposób dziś jeszcze zawiadomić pozostałych osobistości. Niebawem minister dworu zatelefonował po raz trzeci i zażądał raz jeszcze przybycia Duce, przyczem zakomunikował mu, że król rozmawiał już z paru członkami Rady. Wówczas dopiero Mussolini, widząc, że przeciwnicy ubiegli go u króla, zdecydował się pojechać. Wsiadł do samochodu i udał się do willi Savoia, otoczony niewielkim oddziałem gwardii osobistej.

Historyczna rozmowa króla z Mussolinim trwała około dwóch godzin. Mussolini rozpoczął ją od obszernego exposé na temat położenia politycznego i wojskowego, poczem przeszedł do planów na przyszłość. W tym momencie król przerwał mu, oświadczaając, że uchwała Wielkiej Rady, składająca losy kraju w ręce monarchy, stwarza nową sytuację, uniemożliwiająca Mussolinemu czynienie jakichkolwiek projektów. Był szef rządu zorientował się wreszcie w sytuacji i zbladł. „Pragnę zakomunikować panu, — rzekł król, — że następca pański został już wybrany i objął swe funkcje. Jest nim marszałek Badoglio. Proszę postawić się do jego dyspozycji”. Po chwili ośpienia Mussolini zaczął grozić. Zwrócił uwagę króla na środki, jakimi rozporządza jeszcze i które mógłby obrócić przeciw koronie i armii. Gdy powstał wreszcie, aby odejść, król przywołał go spokojnie do porządku i prosił, by dobrze zastanowił się, zanim wtępi kraj w ośchłą wojnę domową.

Podczas tej rozmowy samochód Mussoliniego i jego eskorta odesłane zostały sprzed bramy willi Savoia. W miejscu, na którym przed chwilą jeszcze znajdowała się limuzyna b. szefa rządu, zjawiała się karetka sanitarna Czerwonego Krzyża, w niej zaś pułkownik karabinierów i paru żołnierzy. Nie widząc swego samochodu, Mussolini zażądał od portiera, by go sprowadzono. W tej samej chwili doszedł doń ów pułkownik i rzekł: „Ekscelencjo, (już nie „Duce”), mam rozkaz zaopiekowania się pańską osobą. Proszę wsiąść do karetki sanitarnej i jechać ze mną”. Mussolini zaczął protestować, pułkownik jednak odparł stanowczo, że musi wykonać rozkazy. Ex-Duce umilkł wówczas i, nie stawiając już więcej oporu, wsiadł do samochodu, który zawiózł go do koszar karabinierów.

Nieco odmiennie przedstawia ów finał dramatu Badoglio w swym przemówieniu do oficerów. „Rano, 25 lipca — opowiedział on — Mussolini zjawił się w willi Savoia i zakomunikował monarsze uchwałę Wielkiej Rady Faszystowskiej, stwierdzając równocześnie, że uważał ją należy za nieprawą i niebyłą. W odpowiedzi król oświadczył mu, że mylił się, gdyż Wielka Rada jest organem, uznany przez państwo, wobec czego uchwała jej jest ważna. Mussolini zapytał wówczas króla: „Czy mam przez to zrozumieć, że winieniem odejść?” „Tak jest, — odparł król, — odejdzie pan”.

„Po skończonej rozmowie — kontynuuje Badoglio — Mussolini opuścił willę Savoia. U wyjścia zabrany został przez karabinierów i zawieziony do koszar. Zrobiliśmy to, by w mieście nie wpadł w ręce tłumu, który z pewnością rozerwałby go na kawałki. Mogę oświadczyć wam, że posiadam list Mussoliniego, pisany nocą 25 lipca, w którym to liście dziękuję mi on za to, że uratowałem go w ten sposób”.

Jak widzimy, różnice między wersją Badoglią a opowiadaniem wzmiankowanej wyżej broszury nie są zbyt wielkie, ani ważne. Dotyczą one co najwyżej szczegółów. Zresztą, pewne niezgodności między poszczególnymi wersjami istnieć zapewne będą jeszcze długo, gdyż każdy z uczestników włoskiego dramatu stara się obecnie zrzucić odpowiedzialność z siebie i obarczyć nią innych.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”
ukaze się w najbliższych dniach tom
reportaży

ROMANA FAJANS

WŁOCHY-1944

WITOLD RAJKOWSKI

PODZIEMNE SKARBYS

BLISKIEGO WSCHODU

Główna w ostatnich czasach sprawa nafty arabskiej i projektowanego przez Amerykan rurociągu zwróciła znów powszechną uwagę na zagadnienia związane z produkcją tego „płynnego złota”, które było już przyczyną tylu światowej wagi wydarzeń politycznych, a nieraz i konfliktów.

Ropa naftowa znana była ludzkości już od lat tysięcy. W Persji i Mezopotamii używano jej bądź jako opału, bądź też do spajania suszonych na słońcu cegieł, z jakich były budowane gmachy Kraju Dwóch Rzek. Miała ona także zastosowanie jako lekarstwo na choroby skórne. Sprowadzano ją nawet do Egiptu, gdzie posługiwano się nią przy balsamowaniu zwłok.

Dziwne, wystrzelające z ziemi ognie, jakie płoną do dziś dnia w Baba Gurgur pod Kirkukiem — zniszczone nowoczesnych bogów, mających swą świątynię we wznoszącej się tam rafinerii — paliły się już przed wiekami. Opo wiadali o nich różni podróżnicy, a w nowszych czasach opisał je William Ainsworth w swej książce p. t. „Researches in Assyria, Babylonia and Chaldaea” (wydanej w r. 1938).

Gdy nafta zaczęła w XIX w., po wynalezieniu lampy, odgrywać coraz ważniejszą rolę, zaczęto przemysłować i tu — w tym zapadłym podówczas kacie otomańskiego imperium — o wydobywaniu tego podziemnego skarbu. W siódmym dziesięcioleciu tego wieku, ówczesny „wali” (gubernator) Bagdadu, Midhat Pasza, zainteresował się złożami nafty, której próbki poleciał wysłać do Londynu, celem należytego ich zbadania. Gdy analiza wypadła pomyślnie, postanowił wybudować w Bakubie rafinerię, w której oczyszczano ropę, wydobywaną w pobliżu Mandali, na granicy perskiej. Dzieło to jednak — jak i wiele innych pomysłów Midhata, człowieka o najlepszych chęciach, szczerze zainteresowanego w gospodarczym rozwoju kraju, ale dyktanta — zostało wykonane tylko w połowie i gdy opuścił on Bagdad, powołany do Stambułu dla objęcia tam stanowiska wielkiego wezira, rafinerię zamknięto i zapomniano o niej. Wkrótce zamieniał się też ona w ruinę, a sprowadzone z wielkim trudem i nakładem kosztów maszyny zżarła rdza, obracając je w stos bezużytecznego żelazniwa. Podziemny skarb Iraku poszedł w niepamięć na parę dziesiątków lat.

Persja i A. I. O. C.

W r. 1891 francuski archeolog, Jacques de Morgan, prowadzący prace wykopaliskowe w Susie, starożytnej stolicy Elamitów, znajdując się u podnóża gór Lurystanu, w południowo-zachodniej Persji, natrafił w ciągu robót na ślady ropy naftowej. Mając niezłe pojęcie o geologii, zdał sobie dobrze sprawę z wagi tego odkrycia, a że nie brakło mu też i zmysłu praktycznego, postanowił zająć się eksploatacją. Nie posiadał sam dostatecznych na to środków, zaczął więc rozglądać się za kapitałem, co jednak nie poszło łatwo, mimo usilnej pomocy dwóch jego współników — Francuza Cotte i Persa Kitabki, obu dobrze zresztą obeznanych z miejscowymi warunkami i wiedzących, jak się w Persji otrzymuje koncesje. Nie mogąc znaleźć we Francji chętnych, którzy zdecydowaliby się inwestować kapitały w niewiadomą aferę, gdzieś w odległej Persji, postanowili oni zwrócić się do Williama Knox D'Arcy, Australijczyka, o którym zasłyszeli, iż dorobił się poważnego majątku na eksploatacji złota. D'Arcy zainteresował się sprawą nafty i zgodził się sfinansować przedsiębiorstwo. Koncesja, nadana mu przez rząd perski w r. 1901, uprawniała go do eksploatacji nafty na terenie całego tego kraju z wyjątkiem pięciu prowincji północnych (Aserbejdżanu, Gilanu, Mazanderanu, Astrabadu i Chorasanu), uważanych za sferę wpływów rosyjskich. Koncesja opiewała na lat 60, a rząd perski miał na jej podstawie otrzymać gotówką 20 tysięcy funtów szterlingów, tyleż samo w udziałach oraz 16 procent od czystego zysku rocznie.

Po przeprowadzeniu wstępnych poszukiwań D'Arcy i jego współnicy zdecydowali się zacząć wiercenia w miejscowości Chia Surkh, na pograniczu tureckim (nieopodal Kasr-i-Shirin). Wkrótce jednak okazało się, że miejsce było wybrane źle, że względu na trudności komunikacyjne. Nafta wprawdzie pokazała się przy wierceniach w dostatecznej ilości, ale transport jej przez góry do Persji był trudny, a na budowę rurociągu długości 300 mil przez terytorium Iraku Turcy nie chcieli się zgodzić. Już samo sprowadzenie maszyn — najpierw statkami po rzekach Szatt Al-Arab i Tygrysie, a następnie na wielbłądach i mułach — przedstawiało ogromne trudności i stało się przyczyną rozlicznych kłopotów. Następnie brakło na miejscu potrzebnego do ich opalania węgla (przynajmniej zanim by dotarło do nafty), a drzewo należało sprowadzać z dalekich okolic w górach. D'Arcy zorientował się, że kapitały, będące w jego posiadaniu, topnieją, wydano bowiem już około 300 tysięcy funtów nadaremno, wskutek niedostatecznej znajomości warunków miejscowych. Nie chcąc jednak rezygnować z koncesji, zwrócił się on o pomoc do Burma Oil Co., odpustając temu towarzystwu część udziałów. Utworzono nową syndykat i rozpoczęto dalsze poszukiwania, ale tym razem w innej okolicy, a mianowicie w prowincji Khuzistan, w kraju

plemienia Bachtiarów, nieopodal miejsca, w którym Morgan dokonał swego odkrycia. Rozpoczęte wiercenia w okolicy Mesdżid-i-Sulaiman (na północ od Ahwazu) nie dawały początkowo należytych rezultatów, a poza tym okoliczne plemiona robiły różne trudności, mimo że ich naczelnicy byli suto opłacani. Zdarzało się, że kierownik robót miał kłopoty nawet z wynajętą przez siebie strażą bezpieczeństwa, której członkowie grozili mu śmiercią. Dopiero przybycie na miejsce niewielkiej eskorty indyjskich żołnierzy wpłynęło na zmianę sytuacji i inaczej usposobiło bachtiańskich wodzów. W tymże czasie, wobec tego, iż nafta się nie pojawiała, D'Arcy i inni członkowie spółki zdecydowali się już przerwać roboty i odpowiednie rozkazy zostały skierowane do naczelnego inżyniera, G. B. Reynolds'a. Ten jednak, człowiek z gatunku twardych pionierów, nie zwracał uwagi na rozkazy i prowadził wiercenia dalej, aż 26 czerwca 1908 r. dotarł do złóż nafty, która wytrysła z wielką siłą. W ciągu następnego roku dla eksploatacji tych złóż zostało założone towarzystwo pod nazwą Anglo-Persian Oil Co., którego prezesem został lord Strathcona.

Kapitał zakładowy towarzystwa w tym pierwszym okresie wynosił 2 miliony funtów. Zaczęło się ono jednak szybko rozwijać, zwłaszcza gdy tereny naftonośne, zwane Maidan-i-Naftun („Pole Naftowe”) połączono rurociągiem z wybudowaną na wyspie Abadan (na rzece Szatt Al-Arab, nieopodal jej ujścia do Zatoki Perskiej) rafinerią. Nowy rozdział w dziejach tego przedsiębiorstwa otworzył się z chwilą, gdy zainteresowała się nim admiralica brytyjska, chcąc zapewnić zapasy płynnego paliwa dla Royal Navy. Churchill, jako pierwszy lord admiralicji, oświadczył w lipcu 1913 r. w Izbie Gmin, że rząd zamierza stać się właścicielem terenów naftowych, a przynajmniej objąć nad nimi kontrolę. Wysłano do Persji specjalną komisję, a wobec tego, że raport jej wypadł dla przedsiębiorstwa pomyślnie, rząd brytyjski zgodził się inwestować w nim 2 miliony funtów. Dało to następnie podstawę do wysłania na Zatokę Perską floty brytyjskiej oraz korpusu ekspedycyjnego brygadiera Delameina, który w przededniu wybuchu wojny z Turcją otrzymał instrukcję zabezpieczenia rurociągu i rafinerii na wyspie Abadan. W ten sposób konflikt zbrojny z Turcją i długotrwała wojna w Mezopotamii zaczęły się od walki o naftę...

Zakończenie Wielkiej Wojny przyniosło nowe trudności. Rząd perski, niezadowolony z warunków koncesji D'Arcy'ego, zaczął dążyć do jej rewizji, uważając, iż jest ona zbyt dla towarzystwa A.P.O.C. pomyślna. Wobec przewleknięcia się rokowań krewki Reza Szach zdecydował się w r. 1932 na całkowite anulowanie koncesji. Wobec zrzeczenia się przez rząd brytyjski dawnych przywilejów w Persji sprawa była niełatwa, zdecydowali się więc Anglicy skierować ją do Ligi Narodów. Na zebnaniu Rady Ligi w styczniu 1933 r. irański minister sprawiedliwości stoczył słowną batalię z Johnem Simonem, wykazując, że A.I.O.C. („Anglo-Iranian Oil Co.” — tak bowiem zmieniono poprzednią nazwę) nie wypełnia należycie zobowiązań, wynikających z Koncesji D'Arcy'ego, Iran jest wobec tego w prawie koncesję tę anulować, wszelkie zaś odwołania od tej decyzji muszą być kierowane do sądów perskich. Ostatecznie rokowania doprowadziły do zawarcia nowej umowy, ratyfikowanej w maju 1933 r., a mającej ważność na 60 lat. Nowa ta koncesja jest dla Iranu znacznie pomyślniejsza, przewiduje bowiem roczną opłatę sumy, równej 20 procentom dywidend od zwykłych udziałów, oraz regalia w wysokości 4 szylingów od każdej sprzedanej i eksportowanej tony, zamiast zaś podatków ustalono taryfę 9 pensów od każdej z pierwszych 6 milionów ton, oraz 6 pensów od każdej tony ponad tę ilość. Taryfa ta po upływie lat 15 ma być podniesiona na 1 szyling, względnie 9 pensów od takichże ilości ropy. Poza tym ogólna suma wymienionych opłat nie może wynosić mniej niż 1.050.000 funtów rocznie. Tereny eksploatowane miały być określone do końca 1938 r., obejmując ogółem 100 tysięcy mil kwadratowych. Prócz tego kompania zgodziła się na stopniową redukcję swych pracowników europejskich, którzy mieli być zastępowani przez obywateli irańskich.

Od czasu zawarcia powyższej umowy roczne regalia wynosiły mniej więcej 3 i pół miliona funtów, aż do r. 1939, kiedy to suma ta spadła do 2.770.814 funtów, czego przyczyną — jak twierdził rząd irański — była utrata rynków niemieckiego i włoskiego, spowodowana wybuchem wojny. Wobec tego A.I.O.C. zgodziła się zagwarantować minimum regalii w latach następnych na sumę 4 milionów funtów.

Wyspa Abadan, gdzie znajduje się rafineria A.I.O.C., posiada obecnie 100.000 mieszkańców, z których 25.000 należy do personelu przedsiębiorstwa. Ten sześćdziesięciokilometrowy skrawek ładu u połączenia rzek Karun i Szatt Al-Arab jest dziś niejako jednym z filarów wysiłku wojennego Sprzymierzonych. Oprócz budynków rafinerii znajdują się tam rozległe dzielnice mieszkalne, ogrody,

długie na mile mola i linie kolejowe. Nad tym „boom town” unosi się jednak nieustannie chmura dąwającego dymu, a wyciewy ropy naftowej dają się odczuwać w wielomilowej odległości od wyspy.

Irak — i I. P. C.

Równocześnie z eksploatacją nafty na terenie Persji, D'Arcy i jego współnicy zamyślali już w pierwszych latach bieżącego stulecia o uzyskaniu koncesji na terytoriach tureckich. Sprawa ta była jednak trudna, gdyż w 1888 r. sułtan Abdul Hamid wydał firman, ogłaszający, że wszelkie złoża naftowe na terenie wilajetu mosulskiego stanowią prywatną własność padyszacha. Nieprzychylnie dla penetracji europejskiej stanowisko „Czerwonego Sułtana” wykluczało uzyskanie koncesji za jego panowania. Dopiero więc, gdy rewolucja młodoturecka obaliła Abdul Hamida, pojawiły się szanse zdobycia tej upragnionej przez wielu koncesji. Do zawodów bowiem o nią oprócz grupy D'Arcy'ego stanęły także inne towarzystwa, a przede wszystkim Deutsche Bank i Royal Dutch Shell. Współzawodników postanowił pogodzić niejaki Sir Ernst Cassel, Anglik niemieckiego pochodzenia, powołany przez Komitet Jedności i Postępu do organizacji tureckiego Banku Narodowego. W ten sposób powstała koncepcja utworzenia wspólnego Turkish Petroleum Company. Układy w imieniu spółek Shell i Anglo-Saxon Petroleum Co., prowadził Calust Sarkis Goulbenkian, Ormianin i obywatel turecki, uważany za mistrza w intrydze wschodniej, tak że mu nawet nadano przydomek „Talleyrand'a polityki naftowej”. W wyniku batalii, stoczonej głównie za kulami, zawarty został 23 października 1912 r. układ, na którego podstawie Shell i Deutsche Bank miały otrzymać po 25 procent udziałów nowoorganizowanego towarzystwa, zaś turecki Bank Narodowy — 50 procent. Goulbenkian nie poprzestał jednak na tym pierwszym tryumfie, ale dotarłszy do korespondencji jednego z dawno zmarłych wezyrów, odkrył w niej jakieś mgliste obietnice, na których opierając się, ukuł nowe rozszerezenia. W wyniku układów turecki Bank Narodowy zgodził się ustąpić swoją część wkładów na rzecz Anglo-Persian Oil Co. W marcu 1914 r. podpisana została nowa umowa, ale wybuch wojny nie pozwolił na jej ratyfikację.

Walka o naftę trwała jednak dalej — tocząc się równolegle z zapasami zbrojnymi. W r. 1916, gdy Francja prowadziła ciężkie boje, broniąc Verdun, rząd brytyjski uważając za konieczne dodać jej w jakiś sposób odwagi, zgodził się ustąpić z wszelkich pretensji do ewentualnego wiadania terytorium Mosulu (znajdującym się wtedy całkowicie w rękach tureckich), co zostało dokonane drogą tajnego układu, podpisanego 19 maja tegoż roku przez Georges'a Picot i Marka Sykes'a, a przewidującego że w razie zwycięstwa cała ta część kraju ma przypaść w udziale Francuzom. Losy wojny sprawiły jednak, że w r. 1918 okręg mosulski został opanowany nie przez wojska francuskie, ale przez armię brytyjską.

Zanim jeszcze się to stało, już w r. 1915 towarzystwo Shell, uważając, że interesy jego w świecie nie mogą być dostatecznie chronione przez Holandię, postanowiło poddać się brytyjskiej kontroli, co zrobiono w ten sposób, że naczelny dyrektor spółki, Sir Henry Detering, przyjął obywatelstwo angielskie i przeniósł swe biuro z Hagi do Londynu.

Okupując wojskowo terytorium mosulskie, rząd brytyjski niechętnie widział ewentualność ustąpienia go Francuzom. Sprawę załatwiono więc w ten sposób, że za udzielenie aprobaty na okupację zagłębia Ruhry Francja zrzekła się swych pretensji do Mosulu pod warunkiem otrzymania 25 procent udziałów w eksploatacji tamtejszej nafty. Stanowiły one poprzednio własność Deutsche Bank'u, a po wojnie skonfiskowane zostały przez rząd brytyjski. Odpowiedni układ zawarto w San Remo 25 kwietnia 1920 r., kładąc kres postanowieniom umowy Sykes-Picot. Poza tym Anglicy zgodzili się wybudować jedną gałąź projektowanego rurociągu w ten sposób, że ujście jego miało się znajdować na terenie mandatu francuskiego na Lewancie.

Tymczasem jednak sytuacja w Mosulu była w dalszym ciągu naprężona. Do tego obszaru, jaki obejmował cały dawny wilajet mosulski, zgłaszała właśnie pretensje odradzająca się Turcja kemalistowska. Na arenie politycznej dwaj ludzie stanęli do zapasów: lord Curzon, były wicekról Indii, i turecki minister spraw zagranicznych, Ismet Pasza (późniejszy Ismet İnönü, obecny prezydent Republiki Tureckiej). Ismet Pasza twierdził, że wilajet mosulski posiada większość turecką, i domagał się plebiscytu. Lord Curzon twierdził ze swej strony, że większość ludności stanowią zupełnie od Turków odrębni Kurdowie, a plebiscyt nie jest możliwy ze względu na niedostateczny poziom uświadomienia politycznego. Tymczasem na spornym obszarze wybuchały zamieszki i bunty: w r. 1920 wtargnęły tam partyzanckie oddziały pow-

stańców irańskich, kierowane przez Dżamila Madfai, później znów buntowały się plemiona kurdyjskie w okolicach Amadiya i Rawanduz.

Wśród współzawodników znaleźli się także i Amerykanie. Stany Zjednoczone od dłuższego już czasu — a w szczególności od r. 1899 — były zainteresowane w rozwoju gospodarczym Turcji oraz obszarów, jakie podczas wojny zostały imperium otomańskiemu odebrane. W związku z tym Amerykanie domagali się prowadzenia na terytorium Mosulu „polityki drzwi otwartych”, której sprzeciwiała się umowa w San Remo.

W r. 1921 nowy zapasnik stanął w szranki — świeżo utworzone państwo irackie. Pretensje jego do obszarów spornych znalazły silne poparcie Anglii i gdy w r. 1925 sprawa ta została przedłożona Lidze Narodów, rozstrzygnięto ją na korzyść Iraku. Decyzję Ligi Narodów potwierdził także Trybunał Międzynarodowy w Hadze, uchylając pretensje tureckie. Ostateczny kres sporowi położył zawarty w czerwcu 1926 r. układ między Anglią, Turcją i Irakiem, przyznający okręg mosulski w całości Irakowi. Zaspokojenie pretensji Amerykan wzięt na siebie Sir John Cadman, następca D'Arcy'ego i techniczny doradca A.I.O.C. Dwukrotnie — w latach 1920 i 1922 — jeździł on do Stanów Zjednoczonych i ostatecznie zawarł z przedstawicielami tamtejszych towarzystw naftowych układ, na którego podstawie połowa udziałów A.I.O.C. w odradzającej się Turkish Petroleum Co. została odstąpiona kompanii Near East Development, w której uczestniczyły spółki Socony Vacuum i Standard Oil of New Jersey.

Towarzystwo, mające eksploatować terytory naftowe okręgu mosulskiego (dawna Turkish Petroleum Co.), zostało zorganizowane ostatecznie w r. 1925 pod nazwą Iraq Petroleum Co. (I.P.C.), a udziały w nim rozdzielono w sposób następujący:

A.I.O.C.	...	...	...	23½ procent
Royal Dutch Shell	...	...	...	23½ „
Compagnie Française des Petroles	...	...	...	23½ „
Near East Development Co	...	...	...	23½ „
C.S. Goulbenkian	...	...	...	5 „

Koncesja, udzielona przez króla Iraku I.P.C., przewidywała prawo do prowadzenia wiercen na 24 działkach o obszarze 8 mil kwadr. każda, wybranych w miejscach dowolnych, oraz do budowy rurociągu, łączącego terytory naftonośne z Morzem Śródziemnym. Wiercenia zaczęto w kwietniu 1927 r., natrafiając w kilka miesięcy później na obfite złoża nafty w Baba Gurgur pod Kirkukiem.

Wobec niepraktyczności systemu działek, — zarówno z punktu widzenia badań geologicznych, jak też z przyczyn gospodarczych, — został on następnie zarzucony, a nowy układ z rządem irackim, podpisany w r. 1931, dał I.P.C. prawo do prowadzenia eksploatacji na całym obszarze Iraku z wyjątkiem okręgu Basry i t. zw. „terytoriów odstąpionych”, pewnych obszarów pogranicznych, jakie Persja oddała Turcji w r. 1913.

W r. 1932 I.P.C. rozpoczęła budowę wielkiego rurociągu, łączącego pola naftowe Kirkuku z Morzem Śródziemnym. Właściwie są to dwa rurociągi, biegnące równoległe aż do miejsca, odległego o 5 mil na zachód od Haditha nad Eufratem. W tym miejscu rozdzielają się one i jeden biegnie przez Palmirę i Homs do Tripoli, drugi zaś przez okolicę Kutby, a następnie Mafrak do Haify.

Na liniach rurociągu znajdują się stacje pomp (cztery na gałęzi, wiodącej do Tripoli, a pięć na linii, wiodącej do Haify), mające regulować przepływ 4 milionów ton ropy rocznie. Każda z tych stacji jest zaopatrzona w telegraf i radio, a poza tym obejmuje ona domy dla personelu i lotnisko.

Obok I.P.C. na terytorium Iraku działają dwa inne towarzystwa naftowe. Jednym z nich jest Rafidain Oil Co. (dawniej Khanagin Oil Co.), będące odgałęzieniem A.I.O.C. Towarzystwo to eksploatuje złoża na wspomnianych już „terytoriach odstąpionych”, gdzie obowiązywała koncesja D'Arcy'ego z r. 1901; ma ono za zadanie zaopatrywanie rynku miejscowego w ropę i jej przetwory. Rafidain Oil Co. posiada nowoczesnie urządzonej rafinerię w Alwand, w odległości 5 mil od Khanaginu, połączoną 30-milowym rurociągiem z terenem naftonośnym w Naft Khaneh.

Eksploatacja obszarów na zachód od Tygrysu została powierzona w r. 1932 towarzystwu British Oil Development Co., będącemu zresztą pod kontrolą I.P.C.

Arabia — i Arabian Oil Co

Tuż u wschodniego wybrzeża Arabii, w Zatoce Perskiej, leży mały archipelag Bahrein, złożony z pięciu wysp, z których największa nadaje swe miano całości. Wyspiarski ten kraik, ze stolicą Manama, mający około 120.000 mieszkańców, znajduje się pod panowaniem dynastii szeików Aal Khalifa, rządzącej tu do 1785 r., a związanej z Wielką Brytanią więzami protektoratu już od r. 1820. Mieszkańcy tutejsi zajmują się przede wszystkim połowem pereł, jednakże także i ziemia wysp Bahrein zawiera ogromne bogactwa — naftę, którą tam przed kilkunastu laty odkrył major Holmes, Nowozelandczyk z pochodzenia. Nie posiadając funduszy, wystarczających na rozpoczęcie eksploatacji, zwrócił się on najpierw do kapitalistów angielskich

PODZIEMNE SKARBY BLISKIEGO WSCHODU

(Dokończenie ze str. 4)

skich, gdy zaś ci, zrażeni pierwszymi niepo-
myślnymi wierceniami, wycofali się ze spra-
wy, skierował się do amerykańskich to-
warzystw naftowych. Udało mu się istotnie
zainteresować spółkę Standard Oil of Cali-
fornia, której udziałem stało się też osta-
teczne odkrycie na tamtym terenie złoża na-
ftowych na głębokości 600 stóp.

Standard Oil of California, nie dysponując
odpowiednimi środkami transportowymi, po-
łączyła się ze swoją dotychczasową współza-
wodniczką, kompanią Texas Oil Corporation,
tworząc razem towarzystwo Bahrain Petro-
leum Co. (w skrócie — „Bapco”), rejestrowane
w Kanadzie. Wybudowało ono w ciągu 2
lat nowoczesną rafinerię, produkującą około
30 tysięcy beczek nafty dziennie. W ten spo-
sób wśród producentów nafty na Bliskim
Wschodzie znalazł się jeden więcej poważny
rywal. Co więcej, towarzystwa Standard Oil
of California i Texas Oil Corporation uzyska-
ły koncesję na terenie samej Arabii, zawie-
rając umowę z królem Abdul Azizem Ibn
Saud. Na podstawie tej koncesji amerykań-
skie towarzystwa, połączone w jedno przed-
siębiorstwo pod firmą Arabian Oil Co., otrzy-
mały do eksploatacji obszar, obejmujący
170.000 mil kwadr. w okolicy Al-Hasa. Z cza-
sem powstała konieczność budowy portu na
Ras Tannura; zbudowano go w początkach 1939
r. Od tego czasu Arabian Oil Co. rozszerza
stałe swoją działalność, a produkcja nafty,
która wynosiła tam w r. 1940-41 tylko około
600.000 ton, przedstawia na przyszłość olbrzy-
mie możliwości.

O koncesje na terenie Arabii starali się
przed wojną liczni współzawodnicy, wśród
których nie brakło Niemców, reprezentowa-
nych przez słynnego posła Rzeszy w Iraku,
dra Fritza Grobba, ani też Japończyków. Ibn
Saud nie miał jednak chęci wiązania się
z tak niebezpiecznymi kontrahentami; wolał
powierzyć koncesję Amerykanom. Od tego
czasu stosunki między Saudią i Stanami Zjed-
noczonymi stały się zacieśniały, i to nie tyl-
ko na polu eksploatacji nafty, ale także i na
innych, wkrótce bowiem obok nafciarzy ame-
rykańskich pojawili się także i specjaliści-
rolnicy. W końcu ubiegłego roku na teren
Arabii Saudyjskiej udała się misja, złożona
z amerykańskich oficerów, pod kierownictwem
gen. Ralphe Royce. W tym samym czasie
dwaj synowie króla — emirowie Feysal i
Khalid — odbyli podróż do Stanów Zjedno-
czonych. W wyniku tej podróży należy się spo-
dziewać dalszego zacieśnienia współpracy
amerykańsko-arabskiej nad rozbudową tego,
dziś jeszcze pustynnego, kraju.

Przed kilku miesiącami nagle rozeszła
się po świecie wieść o ogromnych planach, ja-
kie Amerykanie powzięli w stosunku do Ara-
bii, zamierzając wybudować za 165 milionów
dolarów rurociąg, długości 2500 km., łączący
teren naftowy z morzem Śródziemnym. Ru-
rociąg ten miał być wybudowany przez rząd
Stanów i oddany do dyspozycji Arabian Oil
Co., która w zamian byłaby zobowiązana do
takiego prowadzenia eksploatacji, żeby zawa-
rze posiadać na Bliskim Wschodzie zapas na-
fty w ilości 150 milionów. Poza tym rząd miał
otrzymać prawo do nabywania 20 procent
produkcji po cenie o 25 procent niższej od ryn-
kowej w ciągu lat 50. Z drugiej strony kró-
lowi Ibn Saudowi przysługiwałyby regalia w
wysokości 4 szylingów od każdej wydobytej
tony ropy, a ponadto całe zapotrzebowanie je-
go kraju na naftę i jej produkty miały być
zaspakajane bezpłatnie przez wybudowaną w
tym celu rafinerię. Prócz tego towarzystwo
obowiązane byłoby do budowy potrzebnych li-
nii komunikacyjnych, etc.

Ogromny ten plan, będący dziełem Ha-
rolda Ickes'a, ministra spraw wewnętrznych
oraz administratora węgla i nafty (United
States Secretary of Interior and Coal and Pe-
trol Administrator), wywołał wieki rozgłos
w całym świecie. Szereg towarzystw nafto-
wych, zarówno angielskich jak amerykań-
skich, zainteresowanych w wydobywaniu na-
fty na Bliskim Wschodzie, ze względów
konkurencyjnych wystąpił przeciwko projek-
tom Ickes'a, które zostały także gwałtownie
zaatakowane w amerykańskim senacie. W
końcu kwietnia zwołano w Waszyngtonie
konferencję amerykańskich i angielskich
przedstawicieli, na której rozpatrywano pro-
jekty, dotyczące się Arabii Saudyjskiej. I.P.C.
wynieła także plan budowy dodatkowego ru-
rociągu z Kirkuku do Haify. Przeciwnicy Ad-
ministratorsa Nafty oświadczają, iż projekty
jego stanowią upadły, trudno jednak stwier-
dzić na razie, jak się ta sprawa przedstawia
i jakie będą ostateczne rezultaty. O wynikach
konferencji naftowej wiadomo tymczasem, że
powzięto na niej decyzję utworzenia Stałej
Komisji Naftowej („Permanent Oil Commis-
sion”), składającej się z przedstawicieli nie
tylko brytyjskich i amerykańskich towa-
rzystw naftowych, ale także rządów obu
państw, ich armii i flot. Być może, że naj-
bliższa przyszłość przyniesie nowe rozwiąza-
nia, stanowiące dalsze etapy tej, do fascynu-
jącej opowieści podobnej, historii „Skarbów
Bliskiego Wschodu” — pełnej tajemnic i
niespodzianek, nieraz dramatycznej w prze-
biegu olbrzymiej gry, w której stawką jest
„cenne złoto”.

Płynne złoto, dające władzę nad nowo-
czesnym światem...

Witold Rajkowski

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

O NOWA SUWERENNOŚĆ

W Dumbarton Oaks toczą się rokowania
między głównymi Sprzymierzonymi nad orga-
nizacją międzynarodową, która ma stanowić
nową podstawę współżycia państw. Mimowoli
nasuwa się porównanie z konferencją pokojo-
wą po pierwszej wojnie światowej. W czasie
tamtej wojny obrady nad Paktem Ligi Na-
rodów bezpośrednio zainteresowały czołowych
przedstawicieli Mocarstw Sprzymierzonych
i Stowarzyszonych i prezydent Wilson był
jednym z głównych redaktorów jego przepi-
sów. Dzisiaj obraduje na pewno nie pierwszy,
a może nawet nie drugi garnitur polityczny.
Obraduje teraz, gdy tyle innych, znacznie
bardziej aktualnych zagadnień politycznych
zaprzęta umysły wodzów.

Jasne jest, że wskutek tego przyszłe za-
sady organizacyjne i koncepcje prawne mu-
szą odejść na plan dalszy wobec takich pro-
blemów, jak odniesienie ostatecznego zwycię-
stwa. Nieobecność Roosevelta, Churchilla,
Stalina i Czan-Kai-Szeka w Dumbarton Oaks
wyklucza możliwość powzięcia rewolucyjnych
uchwał i wprowadzenia zasadniczych zmian w
dzisiejszą rzeczywistość. Obradujący w Dum-
barton Oaks z natury rzeczy muszą kłaść
większy nacisk na kulturowanie obecnego
układu sił w świecie dla wykorzystania obec-
nych porozumień na rzecz pokoju, tak jak
działają one dziś na rzecz wojny. Jeżeli mi-
mo to można liczyć na zasadnicze zmiany, to
chyba tylko dla tego, że taka wojna jak ta,
w której bierzemy udział, jest rewolucją w
najszerszym tego słowa znaczeniu. Czy jed-
nak nie zatraci się w tej atmosferze pewien
idealizm, konieczny przy planowaniu każde-
go dzieła, które musi przetrwać i działać na
długo. Trudno to przewidzieć. W każdym
bądź razie należy raczej obawiać się nadmia-
ru realizmu politycznego, niż jego braku.

Jedno jest jednak pewne. Muszą odżyć nor-
my prawa narodów. Albowiem tak samo jak
armia i broń są narzędziami wojny, prawo jest
narzędziem pokoju. Jakkolwiek nie ma dla
niego tego zbyt może przesadnego szacunku,
który towarzyszył obradom w Wersalu, zbyt
wielkiej wiary w jego autorytet, to jednak nie
można prawa pominąć, gdy trzeba ująć w
trwałą formę zasady współżycia państw na okres
pokoju. Nie można obejść się bez norm praw-
nych, gdy idzie o osiągnięcie celów odlegle-
szych i nie ograniczonych tak konkretnymi
zadaniami, jak wygrywanie kampanii czy zdo-
bywanie takich czy innych terenów.

W dotychczasowym prawie narodów in-
stytucja suwerenności państwowej zajmuje
centralne miejsce. Określa ona rolę państwa
w systemie międzynarodowej społeczności nie-
zawisłych państw. Bez względu na to, jakie
będą rezultaty konferencji, to właśnie poję-
cie zostanie przede wszystkim zmodyfikowa-
ne, przepojone nową treścią. Jeżeli zaś pozo-
stanie bez zmian, to każdy prawnik, umię-
jący ocenić znaczenie przepisu prawnego na tle
zjawisk życia i polityki, przepowie z dużą
śmiałością przyszłą wojnę.

Pojęcie suwerenności jest nieodmiennie
związane z istnieniem społeczności niezawis-
łych narodów. Z tą chwilą, gdy powstanie
ponadpaństwowa organizacja, obejmująca
wszystkie ludy świata, z prawem regulowania
spraw, dotyczących jednostek bezpośrednio,
nie zaś za pośrednictwem poszczególnych or-
ganizacji państwowych, wówczas nie będzie
prawa narodów, ani nie będzie instytucji su-
werenności. Natomiast istnienie jakiegokol-
wiek organizacji międzynarodowej współpra-
cy państw, służącej dla osiągnięcia pewnych,
choćby najogólniejszych celów, nie wyklucza
istnienia państw suwerennych. Stąd rozwo-
ju, jakie przechodzi ludzkość na tle organizo-
wania współpracy państw, wpływają także i
na treść suwerenności państwowej.

Rozkład społeczności narodów chrześcijań-
skich, pozostającej pod zwierzchnictwem papie-
ży i cesarza, wywalała poszczególnych władców
ówczesnej cywilizowanej Europy, a rewolucja
religijna zrywa ostatnie więzy zależności ide-
owej. Obalenie supremacji cesarza we Wło-
szach stanowi punkt zwrotny w kierunku wy-
zolenia się poszczególnych państw, pozosta-
jących dotychczas w mniej lub więcej nomi-
nalnej zależności. Na tym tle legião francus-
cy ukuli raczej faktyczne niż prawne pojęcie
władcy suwerennego, nie uznającego żadnego
zwierzchnictwa. Pokój Westfalski jest osta-
tecznym ujęciem istniejącego już od pewnego
czasu tego stanu rzeczy, że cała masa wład-
ców państwów niemieckich uzyskuje suweren-
ność na tle kryzysu, który przechodzi Rzesza.

Do czasu jednak rewolucji francuskiej
pojęcie suwerenności jest raczej doktryną po-
lityczną, którą można zawsze obalić siłą, oba-
lając władzę takiego czy innego księcia. Do-
piero legitymizm Kongresu Wiedeńskiego, o-
siągnięcie okresu względnego pokoju i równo-
wagi sił, a wreszcie powszechne niemal uzna-
nie zasad, stanowiących podstawę praw czo-
wieka i obywatela, oraz przeniesienie jej tak-
że i na stosunki międzynarodowe, nadaje po-
jęciu suwerenności państwowej charakter in-
stytucji prawnej.

Suwerenność w tym ujęciu oznaczała pe-
wien nietykalny dla innych państw zakres
władzy, wyrażający się w prawie reprezento-
wania interesów państwowych na arenie mię-
dzynarodowej. Nacisk położono na niezawis-
łość. Tymczasem w ciągu XIX w. rozwój
handlu międzynarodowego oraz stosunków

gospodarczych, wzrost wymiany ludności i o-
gólny postęp techniczny stworzyły wraz z
długotrwałym pokojem nowe warunki współ-
życia międzynarodowego. Ciągły wzrost do-
brobytu realnego jednostek i społeczeństw co-
raz silniej uwydatniał wzajemną współzależ-
ność. Dążność do popierania tego stanu rze-
czy zmuszała państwa do polityki coraz ści-
ślej współpracy międzynarodowej. Druga
połowa wieku XIX to okres dobrowolnego
ograniczania wykonywania suwerenności na
rzecz współpracy. W szeregu takich spraw,
które dotychczas należały do klasycznego za-
kresu wyłącznej kompetencji państwowej, jak
komunikacja, zapobieganie chorobom, ochrona
praw autorskich, wymiar sprawiedliwości, po-
lityka i formalności celne, handel, emigracja
i t. d., i t. d., przyjęto uzgodnione zasady mię-
dzynarodowe, wyrzekając się swobody regulo-
wania tych zagadnień na własną rękę. Także
pojęcie suwerenności zmienia swą treść. Ozna-
cza ono osobowość prawa narodów, sumę praw
i swobód, które dla danego państwa nie są
ograniczone bardziej niż analogiczne prawa in-
nych państw, należących do społeczności mię-
dzynarodowej.

W miarę jak zmieniają się warunki życia
społeczności narodów cywilizowanych, zmie-
niają się także pojęcia prawne, regulujące ich
wzajemny stosunek. W okresie początkowym
suwerenność oznacza tylko stan faktyczny.
W czasie odbudowania szacunku dla natural-
nych zasad prawnych otrzymuje ta instytucja
szatę i znaczenie prawa. W okresie ścisłej
współpracy międzynarodowej cecha niezawis-
łości i zazdrośnie strzeżonego zakresu wła-
dzy ustępuje na rzecz współzależności oraz
dobrze zrozumianego interesu współpracy.

Okres stosunkowo długiego pokoju w
wieku XIX odsunął na plan dalszy zagadnie-
nie wojny, która stanowi istotny atrybut su-
werenności. W okresie „bezwstydnej pow-
szeczności wojen”, jak określał Grocjusz
początek XVII w., suwerenność przy-
sługiwała tylko tym, którzy byli
dostatecznie silni, by ją sobie wywalczyć i za-
chować. Względna równość praw i równość
wobec prawa państw małych i wielkich w XIX
wieku była wynikiem warunków politycznych.
Sprawiła ona, że państwa wielkie i małe mogły
znaleźć wspólny interes w pokojowym
współistnieniu. Niemniej jednak zasadniczy
problem nie został rozwiązany. O ile za Dekla-
racją Praw Człowieka i Obywatela stała wła-
dza państwa, która siłą zapewniała jej reali-
zację, to w stosunkach międzynarodowych
brakło tego autorytetu. Ta sama władza pań-
stwowa zależnie od potrzeb regulowała i za-
kres tych praw, i ich ochronę. W stosunkach
międzynarodowych suwerenność państwowa,
samo istnienie państwa, które było jej zasad-
niczym przeciwieństwem, zależała od
mniej lub więcej chwiejnego układu sił,
od konstelacji politycznej. Prawdziwie
równe i suwerenne były te państwa, które
nie obawiały się wojny i agresji. Państwa
słabsze były suwerenne i niezawisłe tylko
wtedy, gdy nie groziła im wojna.

Porównanie okresu po wojnach napoleoń-
skich z okresem ostatnich dwu wojen świato-
wych najlepiej uwytknęło te różnice. Równo-
waga sił, zazdrośnie strzeżona przez „Koncert
Europejski”, zapobiegała podbijaniu słabszych
państw przez silniejsze, broni Turcji przed cał-
kowitym rozbiorem, strzeże niepodległości Bel-
gii, Holandii, Luksemburga i Lichtensteinu.
Na południu Europy powstają państwa naro-
dowe: Grecja, Serbia, Rumunia, Czarnogóra,
Bułgaria.

Ale ten wpływ równowagi sił i panowa-
nia prawa narodów posiada ograniczone zna-
czenie. Jasne jest, że istnienie Belgii i Holan-
dii jest związane bezpośrednio z interesem
Anglii, która nie godzi się na opanowanie
brzegów kontynentu w tym miejscu przez
silne państwa. Jasne jest, że Belgia i Holan-
dia muszą prowadzić politykę zagraniczną, a
z biegiem czasu i gospodarczą, zgodną z inte-
resem jej najbliższych sąsiadów, dla których
właściwie zneutralizowano Belgię. Tyle na-
rodów odzyskuje wolność, a Polska, mimo że
rozbiory jej były pogwałceniem jaskrawym
prawa narodów, nie może odzyskać niepod-
ległości.

Jeszcze skuteczniej działał układ, zapo-
czątkowany u wstępu do XIX stulecia dekla-
racjami Manninga i Monroe'go, który przy-
niósł trwałą pokój obu Amerykom, a Stanom
Zjednoczonym rolę policjanta Ameryki. Prze-
waga Stanów Zjednoczonych była czasem wy-
zyskiwana dla egoistycznych celów Wielkiej
Republiki, ale państwa Ameryki łacińskiej u-
zyskały niemal pełne bezpieczeństwo i moż-
ność swobodnego rozwoju.

Mysł zastąpienia chwiejnych układów
politycznych stałym porozumieniem wszyst-
kich państw, należących do społeczności mię-
dzynarodowej, nie jest nowa. Zanim przystą-
pimy do opisanie ostatnich dwu prób w tym
kierunku, konieczne jest wyjaśnienie, dlaczego
ograniczenie suwerenności państw jest jedyną
drogą realizacji wszelkich planów tego rodza-
ju. Jasne jest bowiem, że neutralizacja Bel-
gii, która oznaczała, że Belgia zrzeka się
prawa wypowiadania wojny, nie jest stratą
dla Belgii. Natomiast wszelkie ograniczenia
prawa uciekania się do wojny państw wielkich
wymacnia bezpieczeństwo międzynarodowe i
stwarza nowe warunki współżycia. Zobowią-

zania, które zostały nałożone postanowieniami
Konwencji Haskich i Paktu Ligi Narodów,
jak też traktatów i zobowiązań, z Paktem
związanych, nie stanowiły przeszkody dla
Włoch, Niemiec i Japonii. Postulat jest
zatem w tej chwili nie tylko powszechność,
ale i skuteczność nałożonych i przyjętych zo-
bowiązań prawnych. Jasne jest, że głównym
niebezpieczeństwem dla pokoju są uprawnien-
ia suwerenne wielkich państw, a nie małych,
które zwłaszcza w dzisiejszych warunkach go-
spodarczych i przy dzisiejszych metodach wal-
ki nie są w stanie prowadzić wojnę.

Dotychczasowe próby można podzielić —
z uwagi na warunki polityczne, w jakich się
odbywały, — na dwa okresy: okres Konfe-
rencji Haskich i okres Ligi Narodów. Szy one
w kierunku ograniczenia wojny, jako narzę-
dzia polityki państwowej, oraz przyjęcia zobow-
iązań załatwienia sporów międzynarodowych
w drodze pokojowej. Ostatecznie doprowadzi-
ły one do przyjęcia zobowiązań nie uciekania
się do wojny w ogólności. Brak materialnej
siły, kryzys gospodarczy, a w związku z tym
kryzys demokracji, spowodowały, że układ sił
na świecie uległ zmianie i w r. 1939 wybuch-
ła wojna. Z punktu widzenia chwili dzisiej-
szej uderza wąski program zorganizowania
współpracy państw na rzecz pokoju. Należy
jednak zdawać sobie sprawę z tego, że przed
pierwszą wojną światową świat cywilizowany
przedstawiał obraz względnie harmonijnej
współpracy gospodarczej. Istniała organizo-
wana waluta międzynarodowa (standart zło-
ty), szeroki handel międzynarodowy oraz
system międzynarodowych inwestycji kapita-
łowych. Szeroka emigracja do Ameryki roz-
wiązywała trudności społeczne. Po wojnie
1914-1918 natomiast wierzono w konieczność
powrotu do stanu sprzed 1914 r., przyczem
wyobrażano sobie, że ten ustrój gospodarczy
jest jawnym naturalnym i koniecznym i że
wystarczy znieść ograniczenia, wprowadzone
przed wojną, by powrócił on w całej rozciąg-
łości.

Dzisiaj sytuacja wygląda inaczej. Do nie-
bezpieczeństw politycznych dołączyły się trud-
ności gospodarcze, które, jak to kryzys ostat-
nich lat dwudziestu między dwoma wojnami
wykazał, nie dadzą się załatwić na platfor-
mie poszczególnych państw narodowych.
Autarkia jako lekarstwo na trudności gospo-
darcze zbankrutowała. Była to ostatnia bodaj
próba powrotu do pojęcia suwerenności w
dawnym stylu. Planując nową społeczność
międzynarodową, a w ramach tej społeczności
stanowisko jej członków — państw suweren-
nych — trzeba i ten aspekt wziąć pod uwagę.

Jeżelibyśmy chcieli wyciągnąć zasadniczą
prawdę z przedstawionego dotychczas stanu
rzeczy, to wydałoby się, że można ją sformu-
ować w ten sposób: instytucja suwerenności
państwowej zmienia swą treść zależnie od
warunków politycznych, w jakich się świat
w danym momencie znajduje. Odpowiedź
zatem na pytanie, ile będzie warta suweren-
ność poszczególnych państw, a zwłaszcza
państw mniejszych, w nadchodzącym świecie,
zależy przede wszystkim od odpowiedzi na py-
tanie, jakie są możliwości układu politycznego,
który zapewni pokój. Za Ligą Narodów,
za Konferencjami Haskimi stała idea bardzo
szerokiego aliansu dla zabezpieczenia pokoju,
przy czym Liga Narodów miała być w zasa-
dzie aliansem państw demokratycznych.

Jeżeli istotą przyszłego układu będzie po-
rozumienie kilku największych państw, które
spowodują podział świata na sfery wpływów,
wówczas tych kilka państw pozostanie państwami
w pełni suwerennymi, a wszystkie inne
będą w mniejszym lub większym stopniu wa-
salami głównych mocarstw.

Niebezpieczeństwo to jest tym realniej-
sze, że istnieje tendencja obejmowania wpły-
wami gospodarczymi większych obszarów i
organizowania eksploatacji terytoriów państw
słabszych na rzecz silnego partnera, przede
wszystkim przez koncentrację produkcji prze-
mysłowej w jego rękach. Realność tego nie-
bezpieczeństwa powiększa jeszcze i to, że takie
porozumienie łatwo osiągnąć. Znacznie łat-
wiej, niż zorganizować wszystkie państwa,
małe i wielkie, na zasadzie mniejszej lub więk-
szej równości prawnej. O ile przy sferach
wpływów problem gospodarczy znajduje real-
ne rozwiązanie w zasadzie eksploatacji słab-
szych, organizowaniu szerszej autarkii, o tyle
realność tego drugiego planu zależy w pierw-
szym rzędzie od szeroko zorganizowanej
współpracy gospodarczej całego świata. Idzie
tutaj już nie tylko o wyrzeczenie się prawa
do wojny, o organizację pokojowego załat-
wiania sporów międzynarodowych, ale i o mię-
dzynarodowe planowanie gospodarki światowej.

Tylko szczerze i poważne podjęcie prac
w tym kierunku może uratować świat. Sfery
wpływów będą przedstawiały dla świata jesz-
cze większe niebezpieczeństwo niż wielkie im-
perialistyczne mocarstwa, które, realizując
swoje egoistyczne cele, pogrążają świat w
odmetach wojen. Wielkie autarkie gospodar-
cze będą pogłębiały coraz bardziej rozdział
między ludźmi, podnosząc do rzędu dogmatu
zasadę supremacji „wybranych” narodów.
Autarkie te stanowią preludium do przyszłego
starcia zbrojnego, którego skala i niszczą-
ce skutki mogą przekroczyć wszystko, na co
potrafi się wyobrazić ludzka.

„Rozbiory Polski w latach 1793 i 1795 odegrały siły koalicyjne 1792-1794 roku i osłabiły nacisk jej na Francję. Miała ona czas na okrzepnięcie i na wywołanie zwycięstwa. Polska padła, lecz opór jej uratował Rewolucję Francuską. Wraz z Rewolucją Francuską rozpoczął się w całej Europie ruch, wobec którego wszystkie siły reakcji, z caryzmem na czele, okazały się bezzębne.“

Engels

Wysłannicy Kościuszkici śpieszyli do Francji, pełni nadziei. Gdzie, jak nie w Paryżu rewolucyjnym, mogli się spodziewać zrozumienia, zachęty, pomocy. Czekali ich jednak zawód. Wprawdzie niejednokrotnie napotykali objawy sympatii ze strony ludu paryskiego, który widział w nich przedstawicieli bratniego ruchu rewolucyjnego, lecz w kołach Konwentu przyjęło ich chłodno.

W swych rozmowach o Polsce musieli nieraz wysłuchiwać najdziwniejszych poglądów. Pełno było zastawiających niechęci, które wiązały sprawę polską z polityką „secret du roi” Ludwika XV. Wiedziانو, że jest to kraj, w którym Francja, rywalizując z innymi mocarstwami, poniosła szereg niepowodzeń. Wśród zażartych jakobinów na dobro Polski przypisywano wprowadzić długolent brak stosunków dyplomatycznych Polski z Francją po zajęciu prymasa Lubieńskiego z ambasaderem Francji. Owi najzacieklejsi reprezentanci Góry nienawidzili wszystkiego, co było związane z Burbonami, tak gorąco, że wspominali każdą zniewagę, wyrządzoną dyktastii. Ale ci zażadali rewolucyjności odnosili się nieufnie do powstania Kościuszkici, gdyż uważali, że zbyt mało ma ono cech rewolucyjnych.

Gdy wreszcie doszło do przyjęcia delegatów Insurekcji przez Komitet Ocalenia Publicznego, zarówno Robespierre, jak i Saint Just grmili na klerykałskich i niedemokratycznych powstania polskiego.

Mieli oni swoje powody do takiego postawienia sprawy. Więść o posłach z Polski rosłała się już po Paryżu. Sympatie dla Polaków rosły. Domagano się czynnej pomocy. Robespierre znał trudne położenie Francji, widział korzyści, jakie dla utrwalenia rewolucji we Francji przynosi powstanie Kościuszkici. Król Pruski, pośpieszył do Berlina, przestając troszczyć się o przeciwniefrancuską koalicję. Austria na gwałt gromadziła nad granicą Polski swe wojska, bojąc się, że Rosja i Prusy mogą ją uciec w ostatecznym podziale Rzeczypospolitej. Rosja była zupełnie zajęta wojną z Polską.

Robespierre wiedział dobrze, że powstanie polskie to ruch wolności, ruch rewolucyjny — lecz Robespierre wolał się schować za formułki, potępiające niedostateczny radykalizm Polaków, by móc kategorycznie odmówić pomocy i korzystać samemu z zajęcia przeciwników nad Wisłą.

Wojska rewolucyjne rozpoczęły działania zaczepne. Pod Fleurius Jourdan odniósł ważne zwycięstwo nad Austriakami. Belgia stała otworem dla Francuzów. Pitt oburzał się na niedołęstwo Austriaków, groził królów pruskiemu przewraniem wypłaty subsydium. Koalicja przestała właściwie istnieć na czas, gdy podzielił Polski zajmował siły i wyobraźnię władców Prus, Austrii i Rosji.

Polscy kosynierzy ratowali Francję, ratowali rewolucję.

Rozgoryczeni i zniechęceni przedstawiciele Kościuszkici pozostali jednak w stolicy Francji. Upadek Robespierre’a otworzył pole dla nowych nadziei. Z kraju przychodziły nieźle wiadomości, aż wreszcie, jak grom z jasnego nieba, spadła wieść o Maciejowicach. Wszystko wydawało się skończone.

Do Paryża jeli napływać niedobitkowie Insurekcji. Dąbrowski snuł przy pomocy Barssa i Wybickiego plany pozyskania Prus dla odbudowy Polski, przymierza francusko-pruskiego przeciwko Rosji i Austrii. Dmochowski, idąc śladami dyplomacji jakobinów, projektował swę budował na oparciu o Szwecję i Turcję.

Pokój Bazylejski przyniósł wielki triumf Francji i rozpoczął nową fazę polityki rewolucyjnej. Nie szło już o zanieśienie hasła Wolności, Równości i Braterstwa innym narodom Europy. Przeciwnie. Nowokreowani rządy Francji chcieli legalizacji swej władzy i uznania jej przez monarchie europejskie. Pragnęli odpaść, kosztując owoców zwycięstwa. Sprawa polska staje się w ich rękach rodzajem obiektu do przetargu. Rozmawiają z Barsem, lecz równocześnie proponują mocarstwom zaborczym uznanie podziału Polski. Po okropieństwach epoki terroru Paryż wyrzyna się w beztroskim życiu lat Dyrektoriatu.

Niedługo trwał jednak pokój. Po podziale Polski planowane jest rozczłonkowanie Francji, wojska nowej koalicji rozpoczynają swój atak. Anglia i Austria nie chcą uznać hrabiego Prowanacji za prawowitego dziedzica korony św. Ludwika. Może uda się rozbić Francję i zagarnąć jej prowincje. Jedynie Rosja udziela pełnego poparcia pretendentowi do tronu francuskiego.

Polskie dążenia wydają się mieć znowu kształt bardziej rzeczywisty. Tym razem wiąże się ze wschodzącą gwiazdą Bonaparte’a.

W kraju wiedzą o poczynaniach agencji paryskiej. Przychylny do niej stosunek deklaruje Centralizacja Lwowska. Akt Konfederacji Krakowskiej uznaje jej prawa do przemawiania imieniem Polski.

Styczeń roku 1797 zapisuje się dwoma

ważnymi wydarzeniami: rząd Lombardii podpisuje umowę z generałem Dąbrowskim, mocą której na dalekiej ziemi włoskiej powstały polskie oddziały zbrojne. Równocześnie w Petersburgu przedstawiciele trzech mocarstw zaborczych zawarli traktat, stanowiący, iż Polska nigdy już nie powstanie i że „dla zachowania wszelkiej o Polsce pamięci po naszej już śmierci tego ciała politycznego, żaden z trzech dworów w tytule swoim nie użyje nigdy zborowej nazwy Królestwa Polskiego, które odda na wieczne czasy zniszcione zostaje“¹⁾.

Obydwa wydarzenia mają wartość symbolu dla całych dziełw Polski w. XIX: decyzyja o reżymie walki wszędzie, gdzie chodzi o wolność, z myślą o „Wolności, Całości i Niepodległości Ojczyzny“. Po przeciwniej stronie układu, znamionujący zrozumienie wspólnoty, powstał między zaborcami przez chęć wszystkich trzech do spokojnego korzystania ze zrabowanych Polsce ziem.

Sila Legionów rosła, podsycała nowymi nadziejami. Wybicki przywiózł im pieśń o Teju, nie zginieła. Kościuszkici zapowiadali swe przybycie, politycy snuli plany zwolania do Mediolanu Sejmu Wielkiego. Potem było Campo Formio... Jeszcze jeden symbol pamiętnego roku 1797: opuszczenia sprawy polskiej, gdy stawała się niewygodna.

Dąbrowski sześć dziesięć lat z ziemi włoskiej do Polski. Po drodze była zdrada w Mantui, zawody pokojów w Luneville i Paryżu, było San Domingo, Topniały szereg oficerów i żołnierzy. Zmarł z ran Rymkiewicz, rozproszony porzucił służbę Kniazievich. Dąbrowski wytrzymał i doszedł.

W kraju tężało tymczasem nowe pokolenie, wychowane w tradycjach Ustawy Majowej i Insurekcji Kościuszkowskiej. Wstrząs rozbiorów stworzył rozłam między magnaterią a biedniejszą szlachtą i mieszczaństwem. Rządy zaborcze podsycały pychę rodową możnych, obsypując ich tytułami, utrwalając w prowincjonalnym sobiepaństwie. Szlachta, opuszczona przez magnatów, których klamki trzymała się od pokoleń, pozbawiona przywilejów politycznych i gospodarczych, zbliża się w poczuć konieczności walki do mieszczaństwa. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk grupuje uczonych. Zreformowany przez Czartoryskiego Uniwersytet Wileński, nowo założone Liceum Krzemienieckie kształcą pierwsze roczniki inteligencji.

Łosy Polski stają się w latach tych przedmiotem gry dwóch ludzi: Napoleona i Aleksandra I. Napoleon, wchodząc na ziemię polskie, zachęcając do czynu zbrojnego, zapewnia, że „gdy Polacy będą godni być narodem — będą nim“, lecz już w kilka miesięcy później, w Tylicy, proponuje tron polski carowi. Aleksander wie dobrze, że ukrytym celem tej oferty jest poróżnienie go z władcami Prus i Austrii. Nie chce być królem Polski. Namawia Napoleona, by osadził na tronie, stworzonego z ziem, odebranych Prusom, państewka, swego brata Hieronima. Tego znowu nie chce Napoleon, który nie wierzy w trwałość istnienia owego państewka.

Narady na trawie na Niemnie mają przynieść nie tylko pokój między Napoleonem a Aleksandrem, ale i sojusz. Aleksander ma być mieć wolne ręce w wojnie z Turcją i Szwecją. Napoleon chce dokończyć dzieła urządzenia zachodniej Europy, Aleksander na jego żądanie wypowiada wojnę Anglii i ogłasza w Rosji przepisy blokady kontynentalnej.

Polska jest na pograniczu dwóch Imperiów. Jest funkcją wzajemnego stosunku obydwóch cesarzy. Stworzone w Tylicy państewko ochrzczone mianem Księstwa Warszawskiego, by choćby w nazwie nie były zawarte prawa do ziem zaboru rosyjskiego. Fryderyk August, elektor saski, powołany zostaje, zgodnie z postanowieniami Ustawy Majowej, na władcę tego państewka. Ma ono mieć konstytucję taką, „która zgadzałaby się będzie ze spokojem państw ościennych“. Gdyby król pruski zechciał pójść z Napoleonem przeciwko carowi, mógłby zostać królem Polski. Gdyby car chciał bliższej styczni z Francją, przybyłby od Napoleona proponowany tron w Warszawie. Żaden z nich nie chce wiązać się z uzurpatorem. Niech powstanie więc mała Polska, która nie będzie wadzić nikomu.

W r. 1809 Napoleon, niezadowolony z dwulicowej roli wojsk rosyjskich w czasie wojny z Austrią, włacza do Księstwa oswo-bodzone przez księcia Józefa ziemie zaboru austriackiego. Car dostaje tylko niewielki obwód tarnopolski.

Lecz Napoleon ciągle chce zbliżenia z Aleksandrem. Pragnie się żenić z jego siostrą, Anną. Darowany Rosji w Tylicy Białostok mógł ją pokłócić z Prusami. Ofiarowanie w Schoenbrunnie Tarnopol powinien wykopać przepaść między Rosją a Austrią. Matłżeństwo z Romanowówną miało zbliżyć na zawsze władców Zachodniej i Wschodniej Europy.

I tym razem car nie chce wiązać się z Napoleonem. Nie zgadza się na projekt wydania za niego siostry. Napoleon, rozwścieczony, odmawia ratyfikacji umowy, podpisanej w styczniu r. 1810 (przez jego ambasadora w Petersburgu, Caulaincourta, z Rumiancewem), że „Królestwo Polskie nigdy nie będzie oddane“. Ale jeszcze w rok później pisze do tegoż Caulaincourta o Polsce i Polakach: „Naród lekomyślny i państwo trudne do odbudowy, by zrobić z niego coś pożytecznego“.

Gdy narasta konflikt z Rosją, Napoleon coraz więcej zajmuje się sprawą polską. Poznał już w ciągu pletnastu lat, we wszystkich swych kampaniach, wartość polskiego żoł-

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

„NAUCZYŁ NAS BONAPARTE”...

Fryderyk Wilhelm III boi się wznowienia polski dla spokoju Europy. W liście do sekretarza swego (Fain’a) pisze w kwietniu 1812 r.: „Odbudowa Polski wydawała mi się zawsze pożądaną dla wszystkich mocarstw Zachodu. Dopóki Królestwo to nie zostanie odnaleziono, Europa nie będzie miała granic od strony Azji“. W tymże liście zaznacza jednak dalej: „Odbudowa Polski jest czynem zbyt odległym dla Francji, by miała ona rozpocząć o to awanturę. Myślę, że dla nas odbudowa tego państwa nie może stanowić przyczyny wojny, może natomiast być jej wynikiem. Nie trzeba iść za głosem nieprzemysłanego zapалу dla sprawy polskiej: Francja przede wszystkim — oto moja polityka“.

W przededniu wojny r. 1812, która nazwał „drugą wojną polską“, Napoleon nie jest już rewolucyjnym zdobywcą. Myśl jego krąży teraz około zabezpieczenia tronu dla syna. Chce, by mógł on spokojnie korzystać ze zwycięstw ojca.

Polska jest potrzebna w planach Napoleona jako mur od wschodu. Ale projekt odbudowy Polski nastrocza mu inne troski. Piszę o nich w liście do Narbonne’a: „Trudność wojny z Rosją jest natury moralnej. Trzeba, zachowując siłę materialną, spotęgować przez Rewolucję, nie dopuścić do rozpętania namietosów, wskrzesić Polskę bez zbyt-niej jej emancypacji, zapewnić niepodległość Europy Zachodniej, bez wprowadzenia tam fermentu republikańskiego. Oto cały problem... Odbudowa Polski napwót republikańskiej byłaby czymś znacznie bardziej kłopotliwym, niż istnienie jej bez przerw. Mogłaby wegetować, zachowując swój dawny ustrój, bez wyrządzenia zbyt wielkiej szkody. Teraz musiałby podjąć się wojny sąsiadów swch dla zachowania własnego“.

Tego nie chce i tego się boi zięć cesarza Austrii. Chce, by wojna jego z Aleksandrem toczyła się „między nami, cesarzami“. „Żadnych rozpalonych wyobrażeń, porównań mas“. Będzie prowadził z Aleksandrem wojnę przy zachowaniu prawideł uprzejmości: w dwa tysiące dział i pięćset tysięcy żołnierzy, ale bez powstania! — kończy ten sam list do Narbonne’a.

Legenda wojownicza, związana z imieniem Polski, jest tak silna, że boją się jej nie tylko zaborcy. Lecz jest jej także Napoleon, pomimo iż widzi potrzebę istnienia Polski.

Później, patrząc na czynny swe z perspektywy czasu i odległości tysięcy mil Oceanu, Napoleon będzie żałował, że nie zrobił więcej dla Polski. „Gdybym zwyciężył w wojnie z Rosją, Polska byłaby potęgą“, mówi do Moniholona na krótko przed śmiercią. „Polska jest oparciem sklepienia Europy“²⁾ stwierdza w innej rozmowie na wyspie św. Heleny.

O rozstrzelaniu ks. d’Enghien wiosną r. 1804 Tayllerand powiedział swe słynne słowa: „To gorzej niż zbrodnia, to błąd“.

Wypadki zdawały się potwierdzać słusność jego zdania. Nienawiść do Pierwszego Konsula stała się tak powszechną na wszystkich dworach europejskich, że Pitt miał ułatwione zadanie w organizowaniu koalicji przeciwko Francji. Aleksander, marząc o roli arbitra Europy, protestuje przeciwko rozstrzelaniu młodego księcia. Odpowiedź Napoleona zadaje ciós straszliwy jego dumie: pisze w niej, że d’Enghien zamieszany był w spisek Cadoudal’a w którym Pierwszy Konsul zginąć miał od wybuchu piekielnej maszyny, że polecił wprowadzić porwać ks. d’Enghien na terytorium obcy — ale że ze swej strony nie będzie miał przeciwko temu, jeśli Aleksander poleci aresztować choćby na cudzych ziemiach morderców swego ojca, Pawła. Uderzenie było celne. Cała Europa zastęga na ogłoszenie policzka. Uzurpator ośmielił się przypomniać Białemu Carowi Wszechrosji drogę, jaką doszedł do tronu.

Czartoryscy uzyskują zgodę cara na zawarcie układu z Anglią. Rosja przyjmuje pieniądze angielskie i czyni przygotowania do wojny. Austria też na gwałt formuje oddziały. Jedynie Prusy się wahają. Wiedzą, że cały impet potężnej armii francuskiej spadnie na nie, jeśli przystąpią do koalicji.

Nigdy okazała się wydawała się tak pomysłną dla planów Czartoryskiego. Car jedzie poprzez liczne pałace polskie na Litwie do Puław. Tam podstawił mu książę Adam projekty ogłoszenia odbudowy Królestwa Polskiego, zaatakowania Prus i odebrania im ziem polskich.

Aleksander nie może się zdecydować. Król pruski ogłasza neutralność i zapowiada, że walczyć będzie z tym, kto ją naruszy. W Grodnie i Brzeszcu stoją rosyjskie wojska. Zanim dostaną rozkaz marszu, car postanawia iax jeszcze porozumieć się z Prusami. Wysyła ks. Piotra Dołgorukiego do Berlina. Dołgoruki, to lubieniec cara, to jeden z przywódców kamaryli, przeciwniej planom Czartoryskiego. W czasie pobytu w Berlinie rzuca na szalę sprawę polską.

Fryderyk Wilhelm III boi się wznowienia polski dla spokoju Europy. W liście do sekretarza swego (Fain’a) pisze w kwietniu 1812 r.: „Odbudowa Polski wydawała mi się zawsze pożądaną dla wszystkich mocarstw Zachodu. Dopóki Królestwo to nie zostanie odnaleziono, Europa nie będzie miała granic od strony Azji“. W tymże liście zaznacza jednak dalej: „Odbudowa Polski jest czynem zbyt odległym dla Francji, by miała ona rozpocząć o to awanturę. Myślę, że dla nas odbudowa tego państwa nie może stanowić przyczyny wojny, może natomiast być jej wynikiem. Nie trzeba iść za głosem nieprzemysłanego zapалу dla sprawy polskiej: Francja przede wszystkim — oto moja polityka“.

A spokojń ten był im bardzo potrzebny. Haugwitz, wysłany do Napoleona z rodzajem ultimatum, przybywa do kwatery cesarskiej po Austerlitz. Zamiast ultimatum składa Napoleonowi życzenia z odniesionego zwycięstwa. W ciągu niewielu tygodni Prusy zmieniają dwukrotnie kierunek swej polityki i po kilkunasu zaledwie dniach przysięga nad grobem Fryderyka II zachować sens swój jedynie jako akt antypolski.

Carskie projekty odegrania roli w Europie rozpadają się w gruz. Austria pobita, Prusy ze strachu przed Napoleonem gotowe do każdej zdrady, Anglia daleko, Polska oszukaną.

Od Jęny aż po Berezynę sprawa polska nie przestaje trapić Aleksandra. Boi się przyjąć koronę polską od Napoleona w Tylicy w r. 1807, boi się wzrostu Księstwa Warszawskiego w r. 1809, i prubnie dostać gwarancji w r. 1810, że Królestwo Polskie nigdy nie powstanie, potem, gdy wojna r. 1812 przybliża się do jego granic, stara się znowu kusić Polaków. Raz jeszcze Czartoryski tłumaczy mu, że Polaków może pozyskać tylko za cenę zjednoczenia ich ziem. Aleksander zdaje się skłaniać do tego projektu, lecz chce, by mu książę Józef i inni przywódcy narodu poparcie swe obiecali. Poniatowski nie wierzy.

Jest już za późno na plany puławskie. Potęga Napoleona dosięga szczytów. Księstwo Warszawskie realizuje plany reform, przewraca rzeczy rozbiory. Wraz z wojskami Cesarza Francuzów na ziemię polską przyszedł szeroki powiew Europy. Padł na zapalne głowy inteligencji i związał silniej niż kiedykolwiek nadzieje narodu z Zachodem. Lato roku 1812 staje w całej wspaniałości ziszczel snów o odrodzeniu Polski. W sam dzień św. Piotra i Pawła w Wilnie odnowiony zostaje akt Unii Polski i Litwy.

Po klęsce Wielkiej Armii przez sześć miesięcy zmagają się Poniatowski ze sobą, z rządem Księstwa, z opinią całego niemal kraju. Powszechnie domagano się zerwania sojuszu z Napoleonem i porozumienia z Aleksandrem.

Fryderyk August ogłosił neutralność i nawigazł kontakt z Austrią. Rząd Księstwa szukał sposobów przejścia na stronę Aleksandra, nie wiedząc, że wszyscy trzej zaborcy wzeszeli już rokowania, wymierzone przeciw interesom Polski³⁾.

Książę Józef odrzuca projekt Czartoryskiego, by szukać rozejmu z Rosją. Wyprowadza rząd Księstwa, a i sprawę polską na zachód. Napoleon walczył jeszcze wówczas o utrzymanie swej roli w Europie. Pod Lipskiem padła decyzja.

Szło nie tylko o „honor Polaków“. Swą śmiercią w Elstercie torował sprawie polskiej drogę do Europy.

W ciągu trzech miesięcy jesiennych roku 1814 decydowały się losy Polski na Kongresie Wiedejskim.

Aleksander dopiął swego. Mógł rozstrzygnąć o losach kontynentu.

Rosja najwięcej skorzystała z wojen, prowadzonych w ciągu całego wieku XVII przez trzy najpotężniejsze wówczas mocarstwa na wschodzie Europy: Polskę, Szwecję i Turcję. Wiek XVIII przynosi szybki wzrost znaczenia Państwa Carów. Zdobywa ono rozległe terytoria od swych ostatecznych wojnami sąsiadów. Piotr Wielki wyrąba okno na Europę w Petersburgu, Katarzyna II przez zabór części ziem polskich wprowadza Rosję na terytorium europejskie.

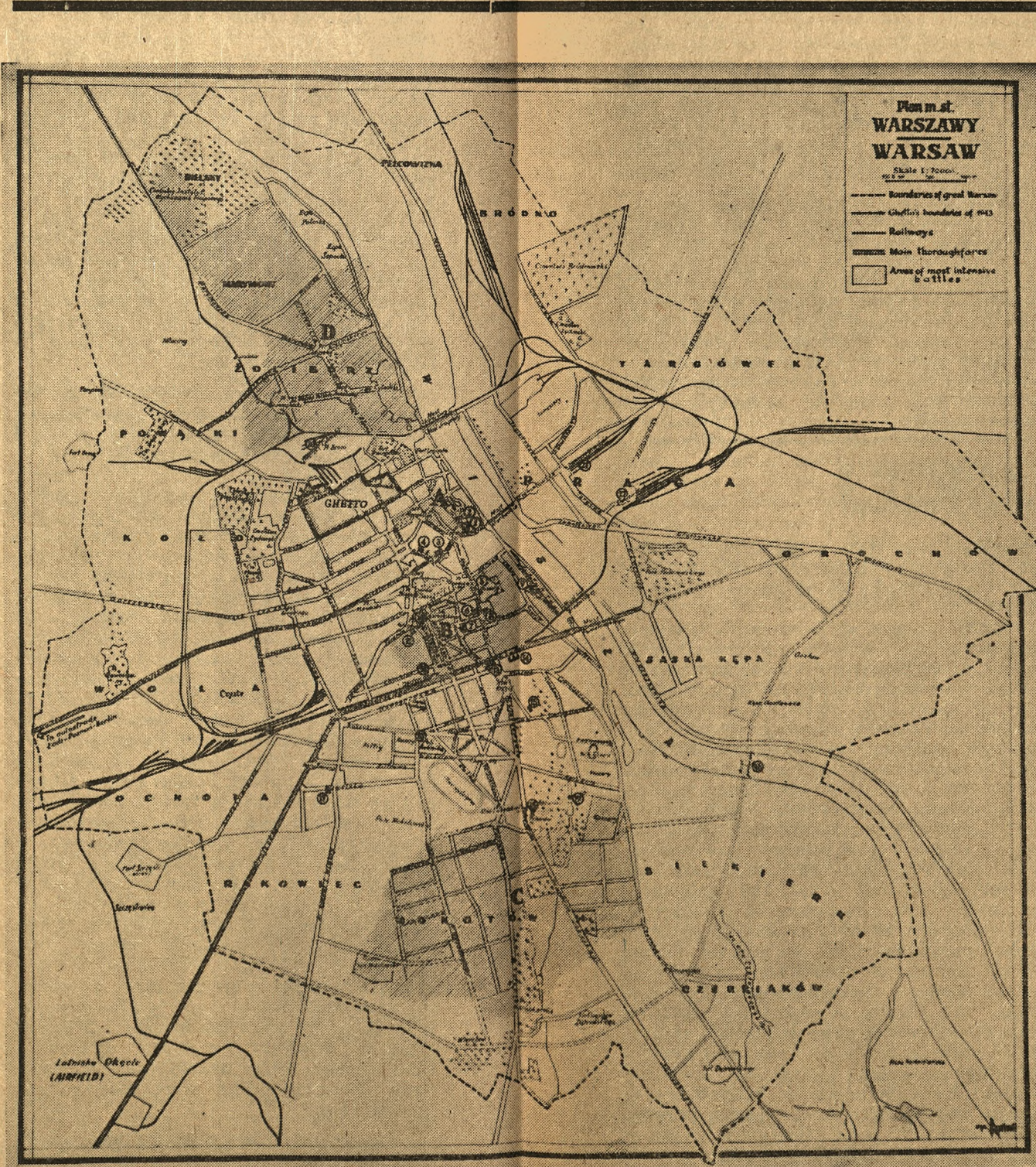
Po krótkim panowaniu Pawła I, pełnym dziwnych pomysłów i gwałtów, Aleksander I staje się pierwszym wędcą Imperium, usadowionego już w Europie.

W Aleksandrze walczą przez cały okres jego rządów dwa kierunki: wychowania zachodnio-europejskiego wieku oświecenia, i dziełna eurazjatyckiej monarchii absolutnej, władcy kraju, gdzie jego fantazja była prawem.

Wśród doradców swych i wódców Aleksander miał wielu niechętnych myśli wciągania Rosji w sprawy europejskie.

Kutuzow był zdania, że wojna r. 1812 zaczęła się na Niemnie i powinna się nad Niemnem skończyć. „Nie ma pogo dalej

³⁾ Henryk Mościcki.



przelewać krwi dla zbawienia Europy, niech ona sama się ratuje własnymi środkami. W szczególności nie ma pogo dążyć do zupełnego złamania Napoleona, — przyniesie to więcej korzyści Anglii, nie Rosji. Jeżeliby ta „przekłeta wyspa“ (jak nazwał Kutuzow Anglię) zupełnie się zapadła pod ziemię, byłoby to najlepiej. Takiego zdania był Kutuzow“).

Inni bali się zetknięcia Rosji z Zachodem. Oficerowie skrzyżli się na rozluźnienie dyscypliny wojsk, które wracają z Europy. Bojarscy troskali się, że rewolucyjna zaraza dostać się może na wies.

Ale Aleksander nie zapominał o podszeptach Tayllerand’a, który jeszcze w Erfurcie błagał go, by zbawił Europę. Wjazd jego do Paryża był tryumfem, jakiego nie osiągnął dotąd żaden rosyjski monarcha. Nigdy wojska rosyjskie nie były tak daleko na Zachodzie.

Tryumf ten przeraził sojuszników.

Już w czasie podpisywania układu w Chaumont wiał było, że wszyscy czterej partnerzy skrzyżli się na rozluźnienie dyscypliny wojsk, które wracają z Europy. Bojarscy troskali się, że rewolucyjna zaraza dostać się może na wies.

Ale Aleksander nie zapominał o podszeptach Tayllerand’a, który jeszcze w Erfurcie błagał go, by zbawił Europę. Wjazd jego do Paryża był tryumfem, jakiego nie osiągnął dotąd żaden rosyjski monarcha. Nigdy wojska rosyjskie nie były tak daleko na Zachodzie.

Jak odbudować Europę po ćwierćwieczu nieustannych zmian, gdy państwa powstawały i upadały, granice zmieniały się w ciągu niewielu miesięcy i wszystko było płynne?

Jeszcze w Chaumont ułożono, że Francja powinna wrócić do granic swych z r. 1792. Postanowienie to mogło się stać zasadą ogólną. Tayllerand podejmuje ją i chrzeł mianem legitymizmu, przyjemnym dla ucha walczących z rewolucją monarchów.

Lecz oto powstaje zagadnienie Polski. Istniała ona jako państwo niepodległe w r. 1792. Przyjęcie zasady legitymizmu w stosunku do Polski oznaczałoby dla Rosji, Prus i Austrii zerwanie się ziem drugiego i trzeciego zaboru. W każdym zaś razie Rosja nie mogłaby zatrzymać ziem Księstwa Warszawskiego. Metternich wie o planach Aleksandra zachowania tych ziem. Boi się wzrostu siły Rochowicza i niepokoi się za Castlegrah’a. Aleksander powołuje się na zasługę przy oswobodzeniu Europy od uzurpatora. Tayllerand rzuca mu zasadę wyższości prawa ponad zasługę.

Delikatną stroną sytuacji cara jest okoliczność, że ziemię Księstwa Warszawskiego to były zabór pruski. Prusy są jedynym sojusznikiem Rosji na Kongresie. Zabierając im ziemię Księstwa, Aleksander stara się dla nich o rekompensatę kosztem Saksonii.

Napiecie rośnie, gdy car oświadcza, iż wojska jego nie opuszczają zajętych ziem polskich i że woli wojnę, niż wyrzeczenie się zdobytych.

W pierwszych latach panowania Aleksander się wyraźnie pod uroniam Polaków i polskiej kultury. Czartoryski potrafił zainteresować go planami odbudowy Polski. Dyktastia Saska straciła właściwie prawa do korony polskiej już w czasie, gdy obstawiając szeregiem warunków przyjęcie jej w okresie Ustawy Majowej, przekreśliła dane sobie przywileje. Chwiejny i słaby Fryderyk August drżał teraz, by zgodnie z zamierzeniami Aleksandra nie uznano go za zdradę i sojusznika Napoleona. Mógł on na swoją obronę przytoczyć parę przykładów zdrad koalicji przeciwnapoleońskich, dokonanych przez tegoż Aleksandra, czy cesarza Austrii, lub króla Prus. Był jednak od nich słabszy. Uważany był za zdradę, bo nie miał dosyć siły, by zmusić innych do przypomnienia sobie ich konszachtów z Napoleonem. Dla zachowania Drezna gotów był wyrzec się Warszawy.

Aleksander wie, że dla przeprowadzenia swych planów musi mieć za sobą choć część Polaków. Polacy wykazali więcej żywotności, niż myśleli zaborcy, w których przekonaniu naród polski miał się już nigdy nie podnieść. Ofiarność ich w czasie wojen napoleońskich wskazywała na odrzucanie się ducha oporu przeciwko gwałtowni rozbiórów. Jeszcze w czasie obrad Kongresu polscy szwależerowie byli z Napoleonem na Elbie.

Car, grożąc brutalnie użyciem siły w obronie zajętych w Polsce ziem, postanawia wrócić do częściowej realizacji planów puławskich. Lordowi Castlegrah’ oznajmia, że chce naprawić zbrodnię, popełnioną przez podział Polski.

Wprawdzie teraz nie może mówić o zjednoczeniu ziem polskich, ale z tych ich części, które są zajęte przez rosyjskie wojska, stworzy Królestwo Polskie. Będzie to państwo dość znaczne, bo przyłączy doń i białostocki, i tarnopolski okrąg. Da mu konstytucję. Projekt jej jest tak liberalny, że przeraża nawet Castlegrah’a, który wyraża obawę, czy Polacy innych zaborów nie będą buntować się

³⁾ „Istoria Diplomacji“, pod redakcją W. P. Potemkina. Moskwa, 1941, tom I, str. 373. Rozdział opracowany przez akademika E. W. Tariego.

przeciwko swym rządóm, gdy zobaczą, jakie swobody dał ich braciom Aleksander.

Car tryumfuje. Angielski minister lęka się, że Imperator Wszechrosji może być zbyt liberalny, Metternich w strachu, iż taki wzrost siły Rosji mógłby zagrozić spokojowi Austrii, próbuje przekupić króla pruskiego. Obiecuje mu Saksonię, więc odstąpił od cara i przyłączył się do pozostałych mocarstw, tworząc jednolity front przeciwko projektom polskim Aleksandra.

Prusy znów się boją. W końcu dochodzi do układu: Saksonia uratowana. Mocarstwa zaborcze porozumiewają się przy pomocy króla Polski. Księstwo Warszawskie zostaje rozczłonkowane. Car będzie miał Królestwo Polskie, ale mniejsze, niż projektował. Część Księstwa wraca do Prus. Tarnopol dostaje się z powrotem Austrii.

Ludność ziem polskich w trzech zaborach otrzymuje gwarancję autonomii narodowej i liberalnego traktowania. Po wielu miesiącach narad kończy się Kongres Wiedeński. Fraszey o moralności i legitymizmie miały pokryć grę sił realnych. Zrodzone z ducha Kongresu Święte Przymierze nie było na pewno święte i nie bardzo było przymierzem: wrogość stosunków Austrii i Rosji trudna była do ukrycia. Ale Austrie, Prusy i Rosję zbliżało współnictwo w przeciwdziałaniu ruchom wolnościowym ludów, przez nie zawiądnętych. Jak słusznie uważa Tarle, Metternich potrzebował Arakcezewa, a Arakcezew Metternicha⁴⁾.

Stworzenie Królestwa Kongresowego wydawało się na ogół społeczeństwu polskiemu poprawą w porównaniu z okresem Księstwa Warszawskiego. Wracała nazwa Polski. Była to Polska mała, ale Polska.

Aleksander nie zapomina o zaprzepaszczonej już raz w Puławach krzyżacy, które mogło mu dać pozyskanie Polaków. Królestwo dostaje liberalną Konstytucję. Zaszłeni oficerowie wojsk napoleońskich, szkolący nowe kadry wojska polskiego. Namiestnikiem nie zostaje wprawdzie Czartoryski, ale Zajączek, a wodem naczelnym nie Kościuszko, lecz W. Ks. Konstanty, ale na otwartu Sejmu roku 1818 Aleksander zapowiada przyłączenie do Królestwa Ziemi Zabrahnych. Na znacznych obszarach ziem tych istnieje polska administracja.

Wydawało się, że niewykorzystane przez Wętynow prawa dynastyczne do tronu polskiego przejęli Romanowowie, że polski orzeł, umieszczony w sercu dwugłowego orła carskiego, jest trwałym symbolem współpracy dwóch narodów, opartej o poszanowanie i uznanie wzajemnych praw.

W Warszawie powstał Uniwersytet. Lubiecki golił ciężkie rany, zadane przez sumy bajoskie i inne obciążenia gospodarcze z czasów wojen napoleońskich. Zadłużono rolnictwo ratowane przez założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Po burzliwych latach wojen wracał pokój na ziemie polskie. Budowano szkoły, regulowano rzeki, porządkowano miasta, przeprowadzano drogi.

Zniesienie ciał zbrożowych między Królestwem a Rosją w r. 1819 i pojawienie się taniego zboża rosyjskiego podkopalo wprawdzie sytuację rolnictwa, ale wielki rynek rosyjski zapewnił: korzystny zbyt wszelkim wyrobom manufaktur i fabryk Królestwa. Był to okres pracy pozytywnej, bez marzeń. Możliwości rosyjskie imponowały trochę i pociągaly. Świadomość, że sytuacja Polaków w innych zaborach zależy od ich położenia w Królestwie, czyniła Aleksandra popularnym. Wiedziانو, że w Prusach i Austrii lepszy stosunek do Polaków był wynikiem swobód, danych im przez cara.

Polityka Rosji niepokoi jej sąsiadów: „Niestaj charakter cesarza rosyjskiego, — skarży się Metternich, — który obraża się za byle jakiego powodu i którego przychylności nie można pozyskać za żadną cenę, utrudnia nam i innym poważną i owocną przyjaźń z Imperium Rosyjskim. Mając wewnętrzne możliwości, które nie istnieją w innych cywilizowanych państwach... mając możność bezkarnego wycofywania się z wszelkiego sojuszu, czy zakończenia wszelkiej wojny, przez odwołanie swych wojsk, Rosja dzięki swemu politycznemu i geograficznemu położeniu zawsze powinna wzbudzać lęk, zwłaszcza przy takim rządzie, który nie ma stałych zasad i który działa jedynie według kaprysu, czy okoliczności danej chwili“⁵⁾.

W ciągu pięciu lat liberalnych rządów Aleksandra w Polsce i na Litwie jedynym ciemieniem jest urząd specjalnego komisarza carskiego, Nowosiłcowa. W r. 1820 wybuchają powstania w Hiszpanii, w Neapolu i Piemencie. Louvel zabija księcia Berry.

Na Kongresie w Troppau Metternich dowodzi, że ruchy wolnościowe podnoszą głowę, bo zachęca je do tego polityka cara. Wiadomo, że Aleksander chce poprzez powstanie greckie. Możliwy wzrost wpływów na Bałkanach niepokoi Anglię i Austrie. Metternich znajduje jednak argument, który skłania Aleksandra do wycofania się z liberalnych projektów. W czasie kongresu w Troppau przechodzi wiadomość o buncie Siemionowskiego Pułku Gwardii w Petersburgu. Car wraca do Polski i Rosji w przekonaniu o konieczności połączenia tamy wybijającym liberalizmowi. Wyraża swe niezadowolnienie drugie-

mu sejmowi Królestwa z powodu opozycji przeciwko cenzurze i polityce Nowosiłcowa.

W ciągu pięciu lat następnych Aleksander skłania się ku reakcji. Trzeci sejm r. 1825 uchwala jednak projekt rządowe.

Nie chcą drażnić cara, opozycja milczy. Car jest zadowolony. Chwali sejm. Obiecuje ziszczenie dawnych projektów powiększenia Królestwa. Wkrótce potem umiera. Polityka jego wobec Polski kończy się jakby na nucie prowadzącej, na znaku zapytania.

Nigdy przed

KOLUMNNA ANGLIELSKA

HAROLD NICOLSON

EDMUND ROBERTS

DROGA NIEWOLNIKÓW

Z książek, wydanych podczas wojny, mała która wywołała tyle dyskusji, co „Droga do niewolnictwa” prof. F. A. Hayeka. Zdaniem jednych, sposób, w jaki przedstawił on konsekwencje przymusowego planowania, stanowi nowe objawienie liberalizmu. Zdaniem innych, pod pozorami bezstronnej analizy pozwolił on sobie na niecyne ataki na zasady socjalizmu.

Każdego, kto interesuje się współczesną polityką, polityczną, do żywa zaciekawi jego teza, że założenia nasze są w przeważnej części z gruntu fałszywe. W okresie, gdy uważa wszystkich skierowaną jest wyłącznie na wojnę, istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że nasza czujność i instynkt polityczny mogą być przyćmione i że zapanować może tendencja do przyjmowania bez zastrzeżeń bezmyślnych formulek, w których szuka się ratunku przed odwręceniem i bezwładem. Dobrze się więc stało, że prof. Hayek surowo nas ostrzegł, iż przyjmując bezmyślne formułki planowanej ekonomii, nie tylko wyrzekamy się doniosłego wkładu, jaki kraj nasz wniósł do nauki o polityce, lecz zdajemy do całkowitego poddania się surowemu systemowi totalitar-nemu. Ostrzeżeniem jego będą do głębi wstrząśnięci ci wszyscy, którzy w latach zamętu z utęsknieniem wspominali ufnie wyznania wiary liberalizmu dziewiętnastego wieku. Byłby to doprawdy tragiczny objaw, gdybyśmy się mieli wyrzec najcenniejszych koncepcji politycznych, które Anglia dała światu, i gdybyśmy mieli bez wahania przyznać pełną moc obowiązującą nie wrodzoną nam, lecz obcym teoriom politycznym i ekonomicznym. Niepozbowany pewnej pikanterii i swoistego znaczenia jest fakt, że to uczony, z pochodzenia Austriak, musiał nam w piątym roku wojny przypomnieć, iż winniśmy się kierować wrodzonym nam prawem; „respondeat natalibus” — stanowi motto książki prof. Hayeka. Usprawiedliwienie dla indywidualizmu znajdujemy w obydwu aspektach: moralnym i praktycznym. „Moralność — pisze prof. Hayek — z konieczności należy do sfery indywidualnego zachowania się. Moralność istnieje może tylko w sferze, w której jednostka ma swobodę decyzji i sama musi postanowić, czy dobrowolnie poświęci korzyść osobistą, podporządkowując się nakazowi moralnemu. Tylko w wypadkach, gdy osiągnięcie korzyści zależy wyłącznie od nas i gdy mamy możliwość poświęcenia tej korzyści — decyzja nasza ma wartość moralną”. Ponadto istnieje i bardziej praktyczne usprawiedliwienie. Gdybyśmy sobie mogli wyobrazić świat, w którym „elita” składałaby się rzeczywiście z nadludzi, a zwykli śmiertelnicy nie byłby bardziej odpowiedzialni za swe czyny, niż Hotentoci, mielibyśmy naprawdę powody do stosowania kolektywizmu. Lecz w każdej cywilizowanej zbiorowości ogólny poziom inteligencji jest mniej więcej równy; mądrość i głupota w niewielkim tylko stopniu odchylają się od przeciętnego poziomu. Nie możemy sobie wyobrazić elity o zdolnościach lub wobraźni na tyle przewyższających przeciętną normę, że mogłaby ona rozumieć i zaspokajać wszystkie potrzeby całej ludności. Co najwyżej więc „elita” taka mogłaby sądzić, że potrafi „planować” dla zaspokojenia potrzeb pewnej części ludności. Planujący mogą znać jedynie pewną, częściową tylko skalę wartości, a narzucanie tej skali innym byłoby równoznaczne z zamachem na swobodę wyboru i wolność myśli. Z tych to praktycznych powodów zwolennik indywidualizmu dochodzi do wniosku, że należy wszystkim ludziom pozwolić na kierowanie się ich własną, nie narzuconą przez nikogo, skalą wartości. W tym zakresie — pisze prof. Hayek — indywidualna ocena wartości celów winna mieć znaczenie decydujące i nie może podlegać osądowi innych. Funkcja rządu, funkcja układających plany, winna być dlatego ograniczona jedynie do udzielenia pomocy w rozwoju wolnej osobowości: układający plany winni dobrze pamiętać o różnicy „między ustawianiem znaków przydrożnych a nakazywaniem ludziom, którą drogę mają obrać.”

Na tym to górującym stanowisku moralnej i praktycznej konieczności ustawia prof. Hayek swą artylerię, wycelowaną w broń pancerną planowania. Siła ognia jego artylerii jest potężna i skoncentrowana. Ci, co dla nas planują, — twierdzi prof. Hayek, — nie zamierzają bynajmniej zbudować rusztowania, w którego ramach energia jednostki mogłaby znaleźć swój najpełniejszy wyraz; zmierzają oni od centralnego kierownictwa, podającego całą działalność ekonomiczną jednemu, a zatem tylko częściowo słusznemu, systemowi. Zamiast planowania dla ułatwienia konkurencji, planują oni przeciw konkurencji. Do czego to prowadzi? Doprowadzi to przede wszystkim do stworzenia monopolu, a ponieważ niezależność monopolu zniweczy „plan”, państwo prędzej czy później zmuszone będzie kontrolować monopole. Kontrola ta będzie z konieczności „coraz to bardziej zupełna i coraz bardziej szczegółowa”. Proces ten nie tylko będzie nieuniknione prowadzić do zniewolenia samej zasady rządów parlamentarnych lub, że użyjemy prostej i szczerzej definicji prof. Laski'ego, do „zawieszenia klasycznych reguł normalnej opozycji”, lecz nieuniknione doprowadzi do dyktatury jedne-

go lub kilku ludzi. Szybko przestanie również obowiązywać moc wiążąca prawa, a orzecznictwo sądowe stanie się powolnym narzędziem w rękach „planujących”. Prawda stanie się czymś, „podyktowanym przez władzę”; każą nam wierzyć w jakiś oszukańczy rządowy mit, „oparty na swoistych poglądach i ocenie faktów, wypracowanych w naukowe teorie w celu uzasadnienia z góry przyjętych sądów”. Tym sposobem obywatel znajdzie się w trybach machiny biurokratycznej, wyposażonej we władzę, jakiej nikt nie posiada w społeczności, rządzącej się według zasady wolnej konkurencji. Władza ta w końcu zniszczy całkowicie wolność jednostki. Albowiem pojęcie wolności nie da się pogodzić z „ideą dominacji jednego tylko celu, któremu całe społeczeństwo musi się stale i całkowicie podporządkowywać”. I jeżeli sobie jasno nie zdamy sprawy z tego wielkiego niebezpieczeństwa, w bezmyślnej pogoni za godnymi uwielbienia ideałami możemy dojść do rezultatu, w gruncie rzecz równoznacznego z unicestwieniem tych ideałów.

Słabym ogniwem w potężnym łańcuchu przesłanek prof. Hayeka jest jego przekonanie, że na skutek ścisłej współzależności wszystkich przejawów życia gospodarczego nie będzie można położyć kresu planowaniu w momencie, który się uzna za właściwy. Twierdzi on, że w chwili, gdy ktoś rozpoczyna planowanie, skierowane przeciw wolnej konkurencji, zaczyna się staczać w przepaść po równi pochyłej. Niepodobieństwem jest zatrzymać się w pół drogi między planowaniem a ustrojem totalitarnym. Logicznie, może ma on rację, ale my cierpimy na wrodzoną niechęć do doprowadzenia przesłanek do ich logicznych konkluzji. Nawet Marx przyznał, że rewolucja w Anglii musiałaby się zrodzić z kompromisu, rozsądku i ugody.

Skuteczną odrzutką na przygnębienie, jakie wywołuje oskarżenie prof. Hayeka, jest książka p. Harolda Macmillana p. t. „Droga pośrednia”, wydana w r. 1938; książka ta nie zdobyła sobie wtedy rozgłosu, na jaki zasłużyła. P. Macmillan (którym potem przeszedł do służby dyplomatycznej i osiągnął w niej znakomite wyniki) na jakichs czterystu stronach zajmował się problemem, czy będzie rzeczą możliwą uzgodnienie jawnie sprzecznych tendencji: dążenia człowieka do osiągnięcia wyższego poziomu życiowego, który uzyskać może jedynie przez zwiększenie dyscypliny społecznej, oraz dążenia do większej wolności jednostki, którą dyscyplina społeczna musiałaby uszczuplić. Twierdził on, że należy przeprowadzić linię graniczną pomiędzy organizacją społeczeństwa, zdolną do dostarczania niezbędnych do życia dóbr, a organizacją, która sypcha zbiorowość poniżej tej linii i zatapia osobowość w niewolniczej służalczości wobec władzy politycznej. Przy wytyczaniu owej linii granicznej p. Macmillan okazał się typowym Anglikiem. Typowo angielskie są zarówno wiara w kompromis, jak i optymizm. Uważał on, że w Anglii możnaby osiągnąć pewną syntezę, wiążącą kapitalistyczną i socjalistyczną szkołę myślenia, a teorię swą i metodę opierał na tym, że w praktyce przemysł i służby społeczne przechodzą stopniowo z jednej fazy rozwoju do następnej. Prof. Hayek nie uznaje tego rodzaju stopniowania, nie wspomina on zresztą o książce p. Macmillana. Szkoda, mogła ona być go przekonana, że mieszkańcy tej nielogicznej wyspy mają nieograniczoną zdolność wynajdywania pośrednich dróg.

„Ależ popatrz!” — wykrzyknął mój francuski towarzysz, wskazując palcem na wygon wimbledoński — „czyż nie wyglądało to zupełnie jak krajobraz, malowany przez Watteau?” Spojrzałem. Widać było w oddali kilka kominów fabrycznych i kilka podmiejskich willi, do których nie chciałby się przyznać ani Watteau, ani żaden inny szanujący się malarz. Odgadłem jednak, co mój przyjaciel miał na myśli. Polegało to może tylko na owym upojnym nastroju wiosennym, ale jakimś sposobem ten pas ziemi na londyńskim przedmieściu istotnie przypominał scenę najbardziej francuską z wszystkich francuskich scen — krajobraz Watteau.

Mój francuski przyjaciel wyjął mały notesik i zaczął w nim z pasją bagrtać. Nie przeszkadzałem mu, ponieważ nieoklepany poeta nie potrafiłby zrezygnować z zanotowania swych wrażeń, podobnie jak malarz nie dałby się powstrzymać od naszkicowania szczególnie interesującego go tematu.

Ale, gdyśmy tak stali wśród tej Watteau-wimbledońskiej wiosny, przyszło mi nagle na myśl, że owo mało znaczące wydarzenie jest symbolem wielkiego, zasadniczego dla naszych czasów zjawiska. Zrozumiałem nagle, jak realna, jak głęboko zakorzeniona jest idea jedności zachodniej cywilizacji i kultury. Wracając właśnie do obiadu w jednej z tych małych podmiejskich willi, na obiedzie było ze

O BIBLIOTEKI DLA OSWOBODZONEJ EUROPY

Oblicza się, że trzeba będzie 20.000.000 książek, by skompletować biblioteki, zniszczone przez hitlerowców w okupowanej Europie. Komisja Sprzymierzonych rozpoczęła już pracę przygotowującą do odbudowy bibliotek i zebrano już ponad półtora miliona tomów. Rząd angielski ofiarował na ten cel 20.000 funtów. Książki przechowuje Międzynarodowe Centrum Książki w Londynie.

Angielski poeta-laureat*), John Masefield, propaguje większe rozpowszechnienie książki. Rządy wielkiej części świata — mówi on — potrafiły zadusić myśl, wykształcenie, praktyczną możliwość czerpania wiedzy i artystycznego tworzywa.

Stanowi to oczywistą prawdę, jeśli chodzi zarówno o same Niemcy, jak i o olbrzymie przestrzenie okupowanej Europy. Zadanie odbudowy bibliotek w ogólecone ze wszystkiego Europy i dostarczenia drukowanego słowa ludziom, wyzwolonym z niewoli, będzie jednym z najtrudniejszych obowiązków Zjednoczonych Narodów. Problem ten opracowują już bibliotekarze, historycy i pisarze wszystkich Zjednoczonych Narodów.

Książki podsycają płomień wolności i one to przede wszystkim do pokolenia na pokolenie przekazują pochodnię wiedzy. Można się więc było spodziewać, że pierwszą ofiarą nazistowskiego reżimu padną książki. Jedenaście lat temu spalono w Berlinie wielkie piramidy książek. W płomieniach ich, jak na pogrzebowym stosie, paliła się niemiecka kultura. Z tych to płomieni padły pierwsze iskry, od których w niespełna 6 lat później świat zajął się łuną pożaru.

Olbrzymie zadanie.

Zadanie odbudowy dziś, w trzydzieści lat po wybuchu pierwszej wojny światowej, będzie niepomnie większe na skutek niepomnie większego zniszczenia. Oblicza się, że trzeba będzie co najmniej 20.000.000 tomów dla skompletowania bibliotek europejskich, zniszczonych przez Niemców i przez bomby. Niedawno temu kierownictwo nad tą pracą powierzono z ramienia Zjednoczonych Narodów p. M. B. Headicarowi, jednemu z najwybitniejszych angielskich bibliotekarzy. P. Headicar był kiedyś kierownikiem biblioteki Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej; wycofał się on już był na emeryturę, lecz w początkach wojny podjął na nowo pracę na prośbę Biblioteki Merton i Morden w Oxfordzie. Zebrano dotychczas około półtora miliona książek.

Na całkowite skompletowanie bibliotek europejskich trzeba będzie oczywiście jeszcze wielu lat. Nie ulega więc wątpliwości, że w niektórych krajach studenci nie będą mogli znaleźć potrzebnych im książek. Naczelny bibliotekarz Amerykańskiego Kongresu, Archibald MacLeish, wysunął wniosek, by w tych wypadkach studenci mieli dostęp do zbiorów bibliotecznych innych państw. P. Luxmoore Newcombe z Centralnej Brytyjskiej Biblioteki Narodowej popiera ten wniosek tym usilniej, że już przed wojną biblioteka, którą prowadził, pośredniczyła w wypożyczaniu książek między 30 państwami. Zarodek więc międzynarodowej organizacji już istnieje.

W ciągu roku sprawozdawczego, zamkniętego w lutym r. b., Komisja Książek i Wy-

*) Tytuł „poeta laureat” jest angielskim tytułem dworskim. Poeta laureat jest mianowany i wyposażony przez Koronę; obowiązkiem jego, dziś oczywiście tylko nominalnym, jest opisywanie czynów monarchy i wielkich wydarzeń państwowych. Tytuł poety laureata ma w Anglii tradycję, sięgającą XIII w. (przyp. tłum.).

dawnictw Periodycznych, wyłoniona przez konferencję Ministrów Wychowania Publicznego Państw Sprzymierzonych, dokonała dzieła niezmiernego znaczenia. W skład Komisji wchodziło przedstawicieli 12 państw Sprzymierzonych, prócz tego w posiedzeniach braли udział specjaliści delegaci Stanów Zjednoczonych, Rosji, Chin i Dominiów Brytyjskich.

Rząd brytyjski ofiarował 20.000 funtów i 40 księgozbiorów, zawierających po tysiąc najlepszych angielskich książek, wydanych podczas wojny. Z ofiarowanych przez rząd brytyjski pieniędzy, jako też z kwot wnoszonych przez inne państwa sprzymierzone, zakupi się 40 księgozbiorów dla bibliotek narodowych i uniwersyteckich; każdy będzie się składał z 300 wydawnictw naukowych. Książki te, oraz znaczną ilość innych książek, pochodzących ze zbiorów publicznych lub innych darów, będzie się przechowywać w Międzynarodowym Centrum Książki w Londynie. Komisja Historyczna planuje wydanie dwóch większych dzieł: historii cywilizacji europejskiej dla użytku młodzieży w wieku lat 16—18 i podręcznika ze wskazaniem dla nauczycieli historii. Opracowuje się również plany zapewnienia dostatecznej ilości maszyn drukarskich i papieru.

Miejmy również nadzieję, iż powoła się do życia organizację Narodów Zjednoczonych dla wychowania i odbudowy kulturalnej, jakiś rodzaj intelektualnej UNRRA, jak ją przezwano. Będzie to zachętą do badania kultury innych narodów, do wymiany nauczycieli i do nawiązania kontaktów pomiędzy towarzystwami a organizacjami naukowymi.

Lovanium zniszczone na nowo

W Niemczech i we wszystkich okupowanych przez Niemców krajach wprowadzono najsurowszą cenzurę drukowanego słowa. Typowy przykład celowego niszczenia przez hitlerowców twórców ducha stanowią dzieje sławnej na cały świat biblioteki w Lovanium, w Belgii. W sierpniu 1914 r. biblioteka ta została zniszczona i obrócono w popiół archiwa uniwersyteckie, zawierające materiały z przed pięciu wieków oraz trzysta tysięcy rzadkich starych książek, niekiedy bezcennej wartości. Po wojnie zebrano w Stanach Zjednoczonych fundusze na budowę nowej biblioteki. Na cel ten opodatkowało się wiele państw. Nowy gmach wykończono w r. 1928, mógł on pomieścić 600.000 tomów. Wiele tysięcy książek nadesłano z Ameryki, dużo książek ofiarował Watykan ze swej olbrzymiej biblioteki. Z biblioteki Johna Rylanda w Manchesterze nadeszło przeszło 55.000 książek. Dar ten, mimo iż w całości dostępny dla wszystkich, przechowywany był osobno, by zawsze służył świadectwem angielskiej ofiarności. Jednakowoż hitlerowcy, którzy zdobyli władzę we własnym kraju zasygnalizowali światu niszczeniem swych książek, wiedzieli, co najbardziej zagraża ich ambicjom. Na wiosnę 1940 r. piękny budynek biblioteki w stylu flamandzkiego renesansu znów został zniszczony.

Gdy gmach ten swego czasu odbudowano, powstał opór co do napisu, jaki miano umieścić na fasadzie. Belgowie odrzucili projekt napisu: „Zniszczony przez niemiecką furie, odbudowany dzięki amerykańskiej ofiarności”. Obawiali się bowiem, że napis będzie obraźliwy dla niemieckich studentów i przyczyni się do utrwalenia rozgorzczenia. „Dziś napis ten został wyrity w sercach wszystkich uczciwych ludzi na całym świecie” — oświadczył prezydent New Yorku, gdy mowa była o drugim całopaleniu.

KU JEDNOŚCI EUROPEJSKIEJ

dwunastu różnej narodowości Europejczyków: Polacy, Norwegowie, Rumuni i Angliacy. Zebranie miało charakter przyjacielski i całkowicie nieoficjalny, — mogło się wydawać, że byliśmy na pikniku jakiejś międzynarodowej Niedzielnej Szkoły — wśród narcyżów, na łące angielskiego ogródka.

Może dlatego takie wrażenie wywarł na mnie młody francuski poeta, wewnętrznym nakazem zniewolony do napisania swych „strof o wygonie wimbledońskim”.

Holender omal że nie płakał na wspomnienie pół tulipanów i narcyżów na brzegach kanałów, nie był jednak bynajmniej pewien, że będzie chciał tak zaraz po wojnie wracać do kraju. Francuz, gdy stąpał po miękkiej angielskiej murawie, doznawał uczucia nieopanejowej tęsknoty za trzeseńczym żwirem francuskich parków i ogrodów, ale i on oświadczył, że zawsze będzie czule wspominał angielskie życie wsiowe. I tak każdy po kolei.

Z wszystkich tych rozmów wyłaniała się jedna, bardzo pocieszająca konkluzja, ta mianowicie, że, gdybyśmy tylko potrafili spojrzeć na rzeczy z pewnego oddalenia, zrozumielibyśmy, iż mimo obecnego chwilowego wzmożenia się uczuć nacjonalistycznych idea wspólnoty europejskiej stała się rzeczywistością, choć, być może, sami Europejczycy będą się jej opierać lub nawet w nią nie wierzyć.

Rzekł raz Wiktor Hugo, że zróżnicowa-

nie możliwe jest tylko w jedności. W wieku radia i samolotu odrębność, jak zresztą i wolność, mogą uchronić się od zagłady tylko w jedności.

Ludzie na ogół nie są zdolni do przyswajania sobie idei, których nie rozumieją, a jeszcze nie zrozumieli całkowicie, że wydarzenia ostatnich paru dziesiątków lat, a w szczególności ostatniego pięciolecia, zasadniczo zmieniły historyczną prawdę o Europie. Czy się z tym zgadzamy, czy nie, w tej wojnie walczone o ustanowienie wspólnoty europejskiej. Zrozumieją to dopiero przyszli historycy. Dziś każde państwo, każdy naród, każde ugrupowanie przywódców politycznych zbyt są zajęte swymi bezpośrednimi problemami, które, nigdy jeszcze nie wydawały się im tak ważne, tak pilne i tak wyjątkowe, by mogły one zrozumieć te fundamentalną prawdę, że Europa kroczy w kierunku wspólnoty i że w gruncie rzeczy potowa dręczących problemów spowodowana jest właśnie niezrozumieniem tego zjawiska. Ale prawdę tę można już dostrzec i gdy obserwowałem mego przyjaciela, francuskiego poetę, w chwili gdy w obrazie wimbledońskiego państwiska widział on krajobraz Watteau, doznawał uczucia, że już pewnie niezadługo zwykli śmiertelnicy odnajdą prawdę, którą już znaleźli poeci i filozofowie — prawdę o zjednoczeniu Europy i świata.

Mallory Browne

W S R O D K S I A Ż E K

OBRONA MONACHIUM T R Z Y K S I A Ż K I

Viscount Maugham, The truth about the Munich crisis. Londyn, Heinemann, 1944.

W. W. Hadley, Munich before and after. Londyn, Cassell, 1944.

W miarę jak się zbliża koniec wojny, brytyjskie partie polityczne zaczynają zajmować pozycje wyjściowe do przyszłych walk wyborczych. I jedną z tych pozycji — nie najmniej istotną — dla partii lewicowych jest oskarżenie rządów konserwatywnych, że przez swą politykę zagraniczną, przez popieranie Mussoliniego i Hitlera, przez politykę nieinterwencji w Hiszpanii dopomogły do wzmocnienia się faszyzmu w Europie i tym samym doprowadziły do wojny. W latach ostatnich ukazał się szereg książek, w których za pomocą cytów z przemówień posłów i ministrów konserwatywnych oskarżenie to starano się udowodnić. Najgłośniejszymi z tych książek, które rozeszły się w olbrzymich nakładach, były trzy książeczki, wydane przez znaną lewicową firmę wydawniczą Gollancza: „Guilty Men“, „The Trial of Mussolini“ i, ostatnio, „Your M.P.“

Głównym punktem w tym oskarżeniu jest, oczywiście, sprawa rozbioru Czechosłowacji w Monachium. Nic więc dziwnego, że na tę pozycję właśnie poszedł kontrakt „Chamberlainistów“ i że sprawie Monachium zostały poświęcone dwie książki, wymienione w tytule, jedna, napisana przez Lorda Maugham, który był lordem kanclerzem w czasie Monachium i pozostał nim do dnia wybuchu wojny, druga — przez redaktora naczelnego „Sunday Times“, to jest pisma, ściśle związanego z Chamberlainizmem.

Lord Maugham jest świetnym prawnikiem. A jednak jego obrona Monachium jest zgoda nieprzekonywująca. Sprowadza się ona do znanego schematu: „Nigdy nie pożyczam żadnego garnka, — to po pierwsze. Po drugie, oddałem garnek nieuszkodzony. Po trzecie, gdy pożyczałem garnek, już był stłuczony“. Lord Maugham więc przede wszystkim twierdzi, że obiektywnie Monachium było słusne. Czesi prześladowali mniejszości, Hitler miał w Czechosłowacji wielu przyjaciół, Niemców Sudeckich, Polaków, Słowaków, Madziarów, którzyby się nigdy o Czechosłowację nie bili. „Poświęcenie“ Czechosłowacji polegało na tym, że musiała oddać Rzeszy ziemie zamieszkałe przez więcej niż 50% niespokojnych większości niemieckich, których Czechosłowacja przez osiemnaście lat nie potrafiła pogodzić ze swoim panowaniem“.

Wielka Brytania nie miała żadnych zobowiązań bronięcia Czechosłowacji: „Jeżeli małe państwo nie może się bronić samo i musi w razie sporu polegać na siłach zbrojnych innych państw, — a taką była pozycja Czechosłowacji, — to nie ma prawa się skarżyć, jeżeli te inne państwa formułują warunki układu do agresora, które nieszczęsnym mały kraj może przyjąć lub odrzucić. To Francja i Wielka Brytania winny były decydować, jak daleko pójdą w poparciu Czechosłowacji, a nie Czechosłowacja winna im była to dyktować. Jest istotnie zadziwiające, że ludzie tak rozumują, jakby Czesi, nie potrafili przez wiele lat zadowolić lub uspokoić Niemców Sudeckich i innych mniejszości, mieli prawo żądać od Wielkiej Brytanii, by rozpoczęła z Niemcami walkę na śmierć i życie, dla utrzymania granic Czechosłowacji“.

Dalej, Monachium powinno było wyjść na dobre Czechosłowacji: „I w Paryżu, i w Londynie wierzono, że odstąpienie Niemcom ziem z większością niemiecką pozostawi jeszcze Czechosłowacji możność szlachetnej przysięgi“. Albowiem dzisiaj oczywiście nie można wierzyć Hitlerowi, „ale do września 1938 r. dał mało publicznych przykładów swego talentu do kłamstwa“.

Zresztą, Francja i Anglia uzyskały dla Czechosłowacji w Monachium warunki o wiele lepsze, niż warunki pierwotne Hitlera, przedstawione Chamberlainowi w Godesbergu.

Ala to nie wszystko. Anglia byłaby się biła o Czechosłowację, ale tylko wtedy, gdyby Francja się biła. A Francja za nic w świecie tego nie chciała. Wobec więc decyzji odmownej Francji, oczywiście, Anglia sama nie mogła zrobić. Nie tylko zresztą Francja była temu winna, że Wielka Brytania poddała Czechosłowację w Monachium. Winna była i Polska. Lord Maugham stale powtarza, że nie tylko ludność Zaozlia solidaryzowała się z Niemcami, ale że i rząd polski stanął w o-

bozie antyczeskim. Powiada, że ambasador polski w Paryżu uprzedził rząd francuski, że Polska nie dotrzyma przymierza z Francją, o ile ta pójdzie na pomoc Czechosłowacji, i że nie pozwoli na przemarsz wojsk rosyjskich. Powiada, że Rosja zapowiedziała zerwanie paktu o nieagresji z Polską, „o ile ta, tak jak groziła, napadnie na Czechosłowację“.

Tak więc, primo: Monachium było w porządku, a secundo: temu, że się rozegrała tragedia monachijska, winni są wszyscy, oprócz brytyjskiego rządu konserwatywnego.

Obrona Hadley'a jest dużo zręczniejsza. Hadley przyznaje, że do Hitlera i jego obietnic nie można mieć zaufania i twierdzi, że Chamberlain tego zaufania nie miał. Bardzo delikatnie insynuuje, że może jednak było pewne usprawiedliwienie rzeczowe, przypominając, że w r. 1919 Lloyd George miał wątpliwości co do słuszności oddania Sudetów Czechom i że Labour Party była temu przeciwna. Równie delikatnie przypomina, że Francja się wahała, choć przyznaje, że w wiliu Monachium, 25 września, rząd francuski oświadczył, iż przyjdzie z pomocą Czechom. Natomiast wysuwa dwa argumenty zasadnicze. Jeden, że Wielka Brytania nie była gotowa, albowiem program zbrojeń dopiero był w początkach realizacji, a opóźnieniu uzbrojenia winna była lewica, która wciąż żądała rozbrojenia. Drugi zaś zasadniczy argument, to że chociaż rząd wiedział, iż do rozprawy z Niemcami musi dojść, opinia publiczna nie zdawała sobie z tego sprawy i nie uznałaby wojny przeciw Niemcom za usprawiedliwioną. Na poparcie swych twierdzeń Hadley cytuje artykuł lewicowego „New Statesman and Nation“, który przed Monachium żądał oddania Sudetów, i cytuje jedynomyślnie zachwyty prasy po Monachium. Dopiero gdy Hitler ziałał przyrzeczenie, dane Chamberlainowi, i zajął Pragę, opinia zrozumiała, o co idzie naprawdę. Zaskłaga więc Chamberlaina jest to, że naród angielski był jedynomyślny, gdy dnia 3 września 1939 r. trzeba było wypowiedzieć wojnę Niemcom.

Obie książki wywołały olbrzymie polemiki w pismach, wydrukowano dziesiątki listów pro i contra. Proces o Monachium wciąż trwa. Idzie tu bowiem nie tylko o spór historyczny, kto winien, ale zarysowują się już i z góry obrony przyszłych pozycji, pozycji, które się zajmie, gdy przyjdzie chwila zawierania pokoju.

cep.

„YOUR M. P.“

Gracchus, Your M.P. Londyn, Gollancz, 1944. Str. 109.

Koalicja rządowa, której przewodzi premier Churchill, ma już za sobą przeszło cztery lata. Nie brak oznak, że oba stronnictwa, konserwatyści i labourzyści, już przygotowują się do pierwszej powojennej kampanii wyborczej i że w kampanii tej obowiązujący obecnie rozjem polityczny zostanie zerwany. Pierwszą jaskółką, zwiastującą walkę przedwyborczą, jest popularna w Anglii książka pod tytułem „Your M.P.“ („Twój poseł“), której autor występuje pod pseudonimem Gracchus. Książka ta należy do tej samej serii wydawnictw, co „Guilty Men“ („Winowajcy“), oraz „Proces Mussoliniego“, również napisanych przez autorów anonimowych.

Postacią centralną książki Gracchusa jest wyimaginowany Major Patriot O.B.E., M.P., konserwatywny back-bencher, który stracił syna pod Dunkierką. Od tej chwili następuje w umyśle p. Patriota jakaś zmiana: zaczyna się zastanawiać nad tym, kto ponosi winę za tę wojnę, bada własne sumienie, mając niejasne poczucie, że i na nim spoczywa część odpowiedzialności. Z przerażeniem czyta wyrazy uznania, jakich kilka lat temu sam nie szczędził Hitlerowi i „odrodzonej Rzeszy“. Tutaj nieco melodramatycznemu Blimpowi parlamentu brytyjskiego przychodzi z pomocą Gracchus i prezentuje mu bogaty zbiór cytów z przemówień jego kolegów z Westminsteru.

Cytaty te ilustrują tezę autora: Wielka Brytania mogła była zapobiec wzrostowi faszyzmu i hitleryzmu w Europie, a tym samym zapobiec wojnie, gdyby u steru jej rządów nie stała partia konserwatywna, popierająca reakcyjne ruchy w Europie. Konserwatyści brytyjscy, wrogo usposobieni wobec Rosji Sowieckiej, szukali przyjaźni z Mussolinim, Hitlerem i Franco, widząc w nich policmajstrów Europy, mających ochronić świat przed widmem bolszewizmu. Gdy jednak okazało się, że wojna jest nieunikniona, — powiada Gracchus, — wciąż jeszcze można ją było wygrać szybko. Winę za przedłużanie wojny ponoszą konserwatyści, którzy, związani z międzynarodowymi sferami wielkiego przemysłu, hamowali dobrobrojenie Wielkiej Brytanii.

Książeczka Gracchusa wywołała w Anglii istną burzę, najpierw w prasie, potem nawet w parlamencie, gdzie któryś z posłów konserwatywnych zażądał wycofania jej z obiegu.

Quentin Reynolds, Curtain Rises. Londyn, Cassel, 1944. Str. 300.

Quentin Reynolds jest typowym reporterem amerykańskim, a mówiąc „typowy“, myślę o takich reporterach, jakich znamy z filmów i z popularnej anegdoty. Jest pełen temperamentu, inicjatywy i słomianego zapachu; nie jest głęboki ani wnikliwy, ale ma duże Swycucie szczegółu i interesującej „story“; imponują mu nazwiska wielkich polityków i bogaczy; jest pełen rewerencji dla generałów, ambasadorów i bardziej utalentowanych swoich kolegów-dziennikarzy; jego inteligencja jest powierzchowna i imponuje mu, jeśli umie zacytować „Wojnę i pokój“ Tolstoj.

Quentin Reynolds ma świetne nazwisko w Anglii. Zdobył je sobie książką p. t. „The wounded don't cry“ — reportażem blitzu 1940 r.; dwoma post-scriptami w radio angielskim („Dear dr. Goebbels...“ i „Dear Mr. Schickelgruber“), oraz swoją proangielską i antyzlaciunistyczną postawą przed przystąpieniem Ameryki do wojny. Anglicy dobrze pamiętają swoich prawdziwych przyjaciół. I dlatego waga jego książki jest większa niż jej wartość literacka, dziennikarska czy polityczna.

Książka ma wszystkie wyżej wymienione wady i zalety Reynoldsa. Jest to reportaż wojenny za okres od marca do grudnia 1943 r. Z Rosji, Egiptu, Tunisu, Sycylii i Salerno. Plotki, „story“ i sytuacje, doskonale i żywo uchwycone, ale ani charakterystyka osób, ani ocena wydarzeń nie stoją na poziomie wybitniejszych nazwisk reporterskich obecnej wojny: Moorheada, Ewy Curie, Beldena, Jordana, Wertha i t. d.

Najbardziej ciekawe są dla Polaków ustępy o Rosji, a to tym bardziej, że jego pobyt w Rosji przypadł na okres sprawy katyńskiej, która dała Reynoldsovi asumpt do ustępu o granicach polsko-rosyjskich. Ustęp dość płytki, jeśli chodzi o znajomość faktów i ocenę polityczną, ale bardzo ważny, bo opisujący sprawę tak, jak ją widzieli korespondenci zagraniczni w Kujbyszewie. Opis nie jest dla nas korzystny. Jest szereg innych faktów i wniosków, nawet bardziej przykrych, choć mniej wiarygodnych, gdyż liczne drobne błędy osłabiają ich wagę (np. z prof. Stanisława Kota zrobić Vladimira oraz profesora prawa na uniwersytecie krakowskim, jego cytaty z rosyjskiego są pokiełbasszone i nieścisłe). Ale nie wolno się po cieszać tą słabą wiarygodnością opisu. Naz-

wisko Reynoldsa dużo znaczy u przeciętnego Anglika i książka jego będzie napewno szeroko czytana.

War Factory. A Report by Mass-Observation. Londyn, Gollancz, 1943. Str. 127.

Wspaniale wydana seria książek, wychodząca pod nazwą „Britain in Pictures“, — nie mogę odżałować, że nie stać mnie na zakupienie jej kompletu, liczącego już dzisiaj kilkadziesiąt tytułów, — wzbogaciła się o bardzo dobrze napisaną książkę Lady Dorothy Nicholson o londyńczykach.

Historia londyńczyków — od zamierzonych czasów, gdy Alfred Wielki zdobył Londyn od Duńczyków, aż po groźne i podniosłe dni „blitzu“ 1940 roku — opisana jest z erudycją i dużym talentem literackim. Podobnie jak inne książki tej serii czyta się ją lekko i z zainteresowaniem, mimo iż jest „poważna“ i źródłowa.

Nie jest to obszerna monografia. Szczupłe ramy zmusiły autorkę do dużych skrótów, niemniej jej charakterystyka londyńczyków jest wnikliwa i wystarczająca. Obserwujemy rozwój Londynu i jego przemiany, głębokie i zasadnicze, ale poprzez cały tok jego dziejów dostrzegamy przebijające przez zasłoneżone zmiennych dekoracji te cechy londyńczyków, które uderzają i nas, gości, goszczących od przeszło czterech lat w tym „dziwnym“ mieście. Polityczna religijność, namiętna choć inteligencja (w czasach Henryka VIII i Elżbiety „mówiono o londyńczykach, że gdyby mieli sądzić Kaina, uwolniliby go, gdyby Abel był księdzem“, a pod koniec 18 wieku The Gordon Riots szalały antypapizmem!); pasja gry i hazardu — od walk kogutów aż po psie wyścigi — kawiarnie, kluby i pub'y — źródło inspiracji literackiej (dr. Johnson), handlowej (kawiarnia Lloydsa, z której wywodzi się dzisiejszy konserw ubezpieczeniowy) i Bóg wie jakiej, — oto niektóre cechy tego największego miasta na świecie.

Należy jeszcze dodać, że książka jest obficie i pięknie ilustrowana i że jest bardzo tania.

Dorothy Nicholson, The Londoner, Londyn, William Collins, 1944. Str. 48.

Mimo bardzo trudnych wojennych warunków, organizacja Mass-Observation nie zaprzestała swej tak ruchliwej działalności i wychodzi na rynek księgarski z coraz to nowymi opracowaniami. Z końcem 1943 roku wydana książka p. t. „War Factory“ zajmuje się problemem kobiet we fabrykach broni. Studium przeprowadzono na życzenie pewnej poważnej firmy w jej nowozałożonej fabryce, gdzie na zapadłej prowincji angielskiej. Wynikiem badań była nie tylko książka, ale także praktyczne ulepszenia warunków pracy i warunków życia robotnic w tej fabryce.

Angielska zachowawczość dziwnymi chodzą drogami. Któżby przypuszczał, że zezwoli się w poważnej i starej fabryce na doświadczenie, które — mimo wszystkie osiągnięcia Mass-Observation — wciąż jeszcze bardzo podlega dyskusji. Nie mówiąc o tym, że Mass-Observation jest raczej lewicowo nastawiona. Ciekawie opisana jest reakcja dziewcząt, powołanych do pracy fabrycznej na mocy ustawy mobilizacyjnej, na nowe nieznanne dla nich warunki pracy i życia, na miasteczko, które nie przyjęło ich ani zbyt chętnie, ani zbyt gościnnie, na brak ciepła domowego i normalnych rozrywek.

Opracowanie Mass-Observation jest bardzo pożytecznym uzupełnieniem wydanego w r. 1942 studium p. t. „People in Production. An Enquiry into British War Production“.

H. S. Dominik

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Cena 200 milsów

Wydawnictwo „W Drodze“, Jerolimia

Nowość!

Nowość!

JAN PARANDOWSKI

DYSK OLIMPIJSKI

POWIEŚĆ

Wydanie trzecie — Stron 247

Cena 250 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE“, Jerolimia

Nowość!

Nowość!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“

ukazała się

BOLESŁAWA PRUSA

LALKA

Tomy I i II

(tomy III i IV w druku)

Cena każdego tomu 150 milsów.

Te słowa Churchilla będą na pewno cytowane w każdej odezwie wyborczej labourystów.

Dorota Falska

ADA POZNAŃSKA

HANIA

Obce mi środowisko. Pani — córka polskiego ziemianina. Pan z Niemców, przed paroma pokoleniami osiadłych w Polsce, wojskowy, wysoko kwalifikowany inżynier-specjalista. Bardzo zamożni, właściciele dwóch domów, otoczonych ogrodami, w jednej z najładniejszych dzielnic Warszawy.

I nagle, po wielu latach współżycia, gdy się dochowali trzech dorosłych córek — krach. Rozejście się, podział wspólnych spraw. Mąż sentymentalny, słabego charakteru, kobieciarz, gotowy przyrzekać wszystko i nie dotrzymać niczego. Żona twarda jak krzemień i harda:

— Dosyć, nie mogę już, nie chcę mieć z tobą nie wspólnego. Idź!

Pani z dwiema córkami i jedną wnuczką na sześciu pokojach. Potem długi i bieda, lokator, dwóch lokatorów, trzech, czterech i wreszcie pięciu. Bogaty, pełen skruchy, mąż szturmuje — bez rezultatu.

W takiej atmosferze wychowywała się, Haneczko. Gdy przyszła, byłaś zupełnie zagrożona w sprawach dorosłych. Mała krużynka, nawet jeszcze nie czteroletnia. Dziadek mieszkał wtedy jeszcze w domu, w oddzielnym pokoju. Nikt już wtedy nie chciał z nim rozmawiać. I tylko małej Hani wolno było swobodnie bawić się u dziadka.

— Powiedz, co babcia mówiła dzisiaj rano?

A babka z kolei:

— Co było u dziadka? Mówił coś o mnie? Umiałaś przewybornie rozmawiać z dorosłymi. Dostrzegłam to natychmiast, gdy przyszedł oglądać pokój do wynajęcia.

— Moja wnuczka zaprowadzi panią do pokoju.

— Porozmawiaj tymczasem, Haneczko. Ja zaraz przyjdę.

— Dobrze, mamusiu.

„Mamusi!”

Drobna dziewczynka. Nie tyle niska, ile bardzo szczupła i blada. Blond włoski, splecione w cienkie warkoczki, ujmują główkę koroną, zakończone na gorze wielką czerwoną kokardą. Oczy jasne i pełne światła. Nosek i usta szerokie.

Usiadła naprzeciw mnie, poważnie składowając rączki.

— Ile masz lat, Haniu?

— Cztery.

— Chodzisz do przedszkola?

— Chodziłam, kiedyś mieszkaliśmy jeszcze na Bielanych, ale pani taka nudna. Ciągłe mówi: „Tu nie chodź, tu nie rusz, tu nie jedź!”

Mówi poważnie, dorosłe, a jednak jeszcze bardzo dziecinna.

— Ta pani, to twoja mamusia?

— Nie, to babcia. Mamusia nie mieszka z nami. Mamusia mieszka z Tolą i ze Stasiem, tatusiem Toli. — Leciutkie wstchnienie.

Pokój mój był bardzo miły. Wybrałam dolne piętro i cieszyłam się, że jedno z okien wychodzi wprost na ogród. Po wielu latach miasta poczułam się nagle jakby na wsi.

Gospodarze byli bardzo taktowni. Niemal ich nie odczuwałam. Małą Haneczkę widywałam również tylko z daleka i przelotnie. Ale z tego pierwszego okresu jedna scena utkwiła mi mocno w pamięci.

Wracam kiedyś do domu, wieczór, ciemno. Jakaś drobna, skulona postać siedzi na najniższym stopniu wewnętrznych schodów. Haneczka!

— Czego płaczesz, Haniu?

Lkania wstrząsają drobną figurką. Ani słowa odpowiedzi.

— Czego płaczesz? Co się stało?

Nie można z niej wydobyć ani słowa, nie można jej ruszyć z miejsca.

Biegne zaniepokojona do babki.

— Tak, ona tam siedzi może dwie godziny. Była nieznośna, dostała bicie — obraziła się. I ja nie chcę, żeby tam siedziała i płakała bez końca, ale to uparciuch, nie można jej przekonać.

Pełna smutku wróciłam do mego pokoju. A jednak wtedy — nie odważyłam się powiedzieć ani słowa. Dużo czasu minęło, aż wróciłam do tego tematu. Byłam już wtedy niemal członkiem rodziny, gdy zaczęłam prosić i przekonywać, że tak wrażliwego i dobrego z charakteru dziecka nie wolno bić.

Ogród, pełen słońca, zieleni, kwiatów, krzewów i drzew owocowych. W złociste dnie wczesnej jesieni wyrzucało wprost z pokoju. W ogrodzie na ławce poznałam matkę Hani i jej przyrodną, o dwa lata młodszą siostrzyczkę, grubą, puciołową Tolę. Była ona tak duża na swój wiek, że dorównywała niemal wzrostem Hani. A tak z typu inna, że niktby nie podejrzewał, że mogą to być dwie siostry. Prawdopodobnie obie były podobne do ojców, choćby już w tym, że Hania odziedziczyła delikatność swego zmarłego tatusia, a Tola masywność swojego ojca, grubego i potężnego kapitana. W odróżnieniu od subtelnej przejrzystości Hani Tola była bardzo kolorowa i wyraziście: różowe policzki, mocno niebieskie duże oczy i płowe, niemal białe włoski chłopskiego dziecka. Bez zastanowienia, z krzykiem wyrwała Hani jej najpiękniejsze zabawki, i ciskała je energicznie o ziemię. Łasuch, spryciara, a równocześnie zbyt wielki leniuch, by

wołać za potrzebą. Każda wizyta Toli kosztowała Hanię parę majteczek, które już z powrotem do Hani nie wracały.

Bo dziwna to była matka, Hani umiała tylko zabierać. Nie zdarzyło się nigdy, by przyniosła cokolwiek swojej starszej córeczce. Natomiast Tola dostawała wszystko; na Tolę spadał grad pieśczęt, zarówno od jej matki i starszego już ojca, jak i od całej kolekcji jego masywnych, grubych sióstr. A Hania dla tamtej rodziny nie istniała, jej własna matka traktowała ją jak obce dziecko.

Szkoda, że babcia tak ciężkie i twarde przeżywała wtedy sprawy. Szkoda, że ciotka Hela, która mocno kochała Haneczkę, już sama wtedy była napojona goryczą brzydkiej i niedosć kochanej przez ojca córki dwojga, zmagających się w wiecznej walce, rodziców. A najmłodsza ciocia Cesia? Ta, lekkomyślna jak ojciec, bawiła się swą siostrzeniczką jak dużą lalką. Opowiadała jej bajki i bawiła się z nią jak koleżanka, ale miała głowę pełną swoich własnych spraw, życiowych zagadnień podłotką.

I Hania, mała, smutna sierotka żarliwie tęskniła do swojej własnej matki. Żadna z pozostałych ciotek ani babka nie były tak ładne jak mama Wisia, żadna nie miała tak regularnych rysów, tak miłego uśmiechu i takiego pieszczotliwego głosu. Czasem, bardzo rzadko, mama Wisia brała Hanię na kolana i wtedy Hanusia była małą, bardzo szczęśliwą dziewczynką. Ale już Tola waliła mocno swymi tłustymi piastkami, że ona, że ona chce na kolana.

Bywało, że babcia w chwilach rozgoryczenia odgrażała się, że już dosyć, że już wychowała swoje własne trzy córki, że zapakuje wszystkie rzeczy Hani i odeśle ją do matki. Ma dwie córki, niech wychowuje obie razem. A potem niemal płakała ze złości na samą siebie. Taki dobry, kochany był ojciec Haneczki. Niemal z niczego zachorował. Nagle grypa i potem parę tygodni gruźlicy. Umarł w sześć tygodni przed urodzeniem się Hani. Zaklinał, że Wisia młoda, lekkomyślna, wyjdzie drugi raz za mąż, więc niech mama ma w swojej opiece to, co Pan Bóg da, co na świat przyjdzie.

— Nigdy, nigdybym nie opuściła tego dziecka.

I wciągała do siebie Hanię i po raz nie wiem który gorąco jej przykazywała:

— Nigdy mnie nie nazywaj babcią, zawsze — mamusią.

Ale raz, jeden raz stało się. Było to w czasie, gdy o dziadku już nikt w tym domu słowa nie mówił i gdy Wisia z powodu intryg, jakie zrobiła między ojcem a matką, straciła pozwolenie przychodzenia. I nagle z tamtej strony prośba: mama Wisia chce wziąć do siebie Hanię i dziadek również o to prosi, bo się zatęsknił za swoją najstarszą wnuczką. Matka — nikt nie może przeczyć jej prawu.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

POKOLENIE

Idziemy ślepi i niemi,
Bardzo smutni,
Bardzo zmęczeni
Przez nieodgadniony świat.

Płyną za nami zmierzchy,
Rozrzewnia troska —
Wszystko jedno, jaka by ziemia,
Perska czy włoska,
I ile lat.

Patrzmy sobie w oczy
Ostatnich spojrzeń zuchwałych,
Burzy ostatniej i chwiejnej.
Coraz jest dalej i dalej,
Coraz jest mroczniej.
Huczą zawieje,

Dudni krok.
Szukamy pieśni i szpady,
Ażeby żyć i oddychać.
Armaty grmią w Monteradach.
Jest krótka, wezbrana radość,
A później znowu dmie wicher
W zapadły mrok.

Ciskamy serce jak slogan,
Mówimy: wyboru nie ma.
Płoną pochodnie.
Młodość rzucamy w ogień,
Życie składamy w schemat
Kary za zbrodnie.

O wielu rzeczach nie wiemy,

Hania z radości skacze. Babcia na gwałt wszystko reperuje, pierze, prasuje. Hania pójdzie do matki z zasobną wyprawką.

I pojechała. Minął dzień, dwa i trzy. W domu robi się tak smutno, jakby ubył kto najważniejszy. Ciocia Hela płacze po kątach, a babcia zaczyna się niepokoić, czy aby dziecku tam krzywdy nie robią. I na czwarty dzień wieczorem jest, wróciła. Błada, przerażona, nie chce opowiadać, co było. Wydusza z siebie wreszcie wśród płaczu, że tylko Tola, że wszystko dla Toli. Dziadek był dobry, przyniósł jej pudło czekoladek i Tola wszystkie zjadła. Staszek dał Toli taką, o, wielką pomarańcz, a jej nic. Płakała, płakała, krzyczała dwa dni, że chce do domu, do babci. Nie chciała jeść, nie chciała spać. Odwieźli.

Dom. Własne łóżeczko. Wszyscy są tacy dobrzy. Wszyscy Hanię kochają. Ciocia Hela hysterycznie ściska małą:

— Moja córeczka, moja Hanulka.

Babcia przysięga:

— Już nigdy, już nigdy więcej.

Z czasem sprawa matki ucicha. Już nikt jej w tym domu nie wspomina. I tak lepiej. Rana przynajmniej zewnętrznie zasycha.

I tylko kiedyś ni stąd ni zowąd Hanusia cichutko wzdycha:

— Inne dzieci mają mamusie, tatusiów, braci, teściowe...

— Dzieci nie mają teściowych tylko dorosli, Haneczko. A ty masz babcię i dwie ciocie.

Powoli się zaprzyjaźniamy. Chodzimy razem na lody, na zakupy i czasem na przedstawienia. Hania ściska wtedy mocno moją rękę i czuje się bardzo dumna. A kiedy ktoś się pomylił i powie o Hani, że to moja córeczka — obie się śmiejemy i bardzo cieszymy.

Pamiętasz, Haniu, przedstawienia kukielkowe? Święta w przeszoku? Na święto 1-go maja babcia włożyła ci czerwoną sukienkę i powiedziała:

— Jak idziesz na święto robotnicze, to w czerwonej sukience.

Ale kiedy szłaś w czerwonej sukieneczce i z czerwoną kokardą we włosach, rączka w mojej ręce, sztywno wyprostowana, i gdy serce łopotało ci ze wzruszenia, nie wiedziałas, Haneczko, że i ja utraciłam mój zwykły spokój. Bo ja, która na dziesiątki innych dzieci patrzyłam obiektywnym spojrzeniem psychologa, na ciebie spoglądałam z niepokojem i troską. Czemuż, Haneczko, siedzisz tak milcząca i przejęta? Ze wzruszenia nie wiesz, co do ciebie mówią, i dajesz się prowadzić za rękę, jak małe dziecko. No, Haneczko, patrz, jak inne dzieci swobodnie, jak głośno mówią, jak prędko biegną. A ty, sztywna i nadmierne wzruszona, boisz się nawet na mnie spojrzeć.

A jednak te przedstawienia to była strawa duchowa na długie miesiące. Miś i lalka godzinami wysłuchiwali opowiadań Hani o przedstawieniach.

Nie dobrze, trzeba oswoić Hanię z dziećmi.

Na moje gorące prośby babcia zapisała dziewczynkę do przedszkola, ale nie do mego, swobodnego przedszkola — ideologicznie zbyt dalekie. Hania poszła do przedszkola dla „grzecznych“ dzieci. Nie znalazła tam miejsca dla siebie. I po paru miesiącach ja sama zgodziłam się, by ją stamtąd wypisać.

Jednak trzeba przyznać, że jako 5- czy 6-letniej dziewczynce było Hani już o wiele lepiej. Znalazły się dzieci, które ją od czasu do czasu odwiedzają, była też większa i bardziej samowystarczalna. Zawsze szczupła, ale zdrowa, zgrabna, zwinna i silna. Stała się wyręką dla babci. Babcia była dumna ze swojej wnuczki. Hania umiała robić zakupy, umiała pozmywać i powycierać talerze i szklanki, umiała nalać herbatę, podać śniadanie. Hania wreszcie stała się naprawdę córką swojej babci.

Długi i coraz nowe troski. Rozgoryczenie na własne dzieci.

— Rzucę kiedyś to wszystko i ich samym sobie zostawię. Wrócę na wieś w moje strony. Tylko jedną Hanię wezmę ze sobą. Pójdiesz z babcią, prawda?

Babcia jest rozgoryczona do dna duszy. Babcia płacze i chustką wyciera oczy.

Hania wdrapuje się na jej kolana i mocno, z całych sił ją całuje. Babcia kiwa smutno głową i przez łzy szepcze:

— Ta jedna mię kocha.

Siedzi przede mną na stole twoja lalka, Haniu, i przypominam mi ostatnie chwile rozstania. Nie wiedziałas, co to Palestyna, ale przyrzekałaś gorąco, że napewno do mnie przyjedziesz. Cały dom przejęty i wszyscy dorosli znieśli mi prezenty. Więc i ty jak dorosli. Przyniosłaś cztery swoje nowe lalki i powiedziałas z powagą:

— Wybierz sobie, Ada, która ci się najlepiej podoba.

A kiedy po zastanowieniu wybrałam i powiedziałam, że mi się ta lalka bardzo przyda, bo będę ją dawać do zabawy dzieciom, które do mnie przyjdą, zabłyśły radośnie twoje oczy i byłaś bardzo dumna ze swego prezentu.

Ostatnie dni mego pobytu. Złota polska jesień. Ostatnie spacer po ogrodzie, ostatnie jabłko z ogrodu, i śliwki, i pachnące gruszki. I we własnym pokoju gorączkowa praca.

A w Hanię wlaź diabeł. Hania bardzo przeszkadza. Wie, że do pokoju bez pozwolenia wejść nie wolno, ale znalazła sobie miejsce w ogrodzie, tuż pod oknem, i tam wyśpiewuje w niebogłosy.

— Haniu, wiesz, że przeszkadzasz?

— Haniu, pracować mi nie dajesz.

— Prawda, mamusiu, że jak Ada wyjedzie do Palestyny, będę się bawić pod jej oknem, ile tylko zechcę?

— Nie będziesz już wtedy chciała, Haneczko — odpowiada babcia.

I nagle sił nam się wszystkim bardzo smutno.

Dawne dzieje. Cztery lata minęły. Jesteś dzisiaj już dużą dziewczynką, Haniu. Czy biegniesz jeszcze przez ogród z psem Rexem na wścigi? Komu teraz opowiadasz przez siebie samą wymyślone historyjki? Czy przebolałaś mamę Wisię?

Myszę o tobie, Haneczko. Myszę o tym, że przecież nie miałam intencji ciebie wychowywać, a jednak...

Z ważnymi, życiowymi zagadnieniami przychodziłaś do mnie:

— Ada, czy tybys wynajęła pokój Żydowi?

— Naturalnie. Czemużby nie?

— Ale żeby był taki brudny, krzyczałby „handele” na ulicy?

— Gdyby był brudny, poprosiłabym, żeby się umył, a potem bym mu pokój wynajęła. Każdemu bym pokój wynajęła, byle był dobry człowiek.

Albo bratki. Pamiętasz długie klomby kolorowych bratków w waszym ogrodzie, Haniu? Gdy kwitły, chodźliśmy co rano, bardzo wcześnie przed śniadaniem je oglądać. Nawet nie zrywać, tylko oglądać. Gdy zapomniałam, tyś mi przypominała:

— Ada, nie oglądałyśmy jeszcze dzisiaj bratków.

Powolutku obchodziłyśmy wielki klomb i wyszukiwałyśmy najładniejsze.

— Chodź prędko, Haniu, patrz, jaki ten śliczny, ciemno fioletowy, aksamitny. Dotknij palcem, jaki delikatny.

A Hania znowu:

— Spójrz, Ada, na ten żółty, taki wielki!

I wiem, że czy będziesz jeszcze młodą dziewczynką, czy już dorosłą kobietą — obojętnie koło kwiatów nie przejdiesz. Może przypomnisz sobie, jak to kiedyś razem oglądaliśmy najpiękniejsze bratki, i szepniesz w duchu:

— Spójrz, Ada, na ten lśniący, granatowy.

A może tylko pochylisz się, powąchasz i pogłaszczesz delikatnie palcem.

Jerozolim, 19 lipca 1942 r.

L W Ó W

Jako tom 46 „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie“ ukaże się w tych dniach, przedrukowany ze znanej Wegnerowskiej serii „Cuda Polski“, Stanisława Wasylewskiego „Lwów“. Z bogato ilustrowanej książki wyjmujemy tutaj 14 zdjęć.



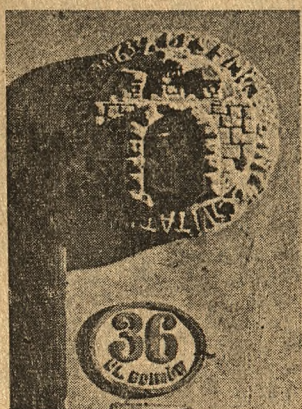
Fasada Dominikanów



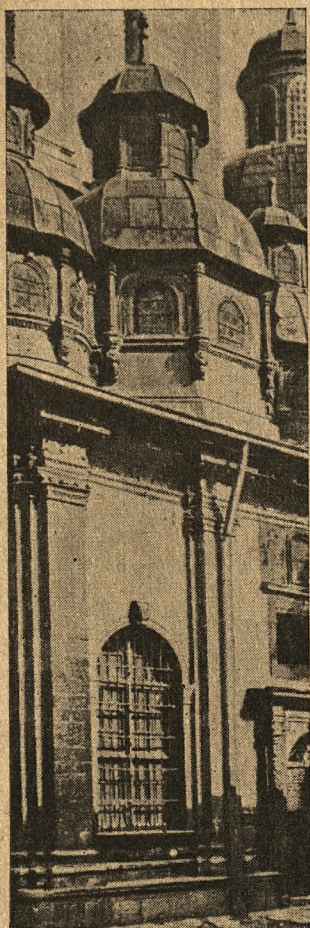
Leo semper vigilat



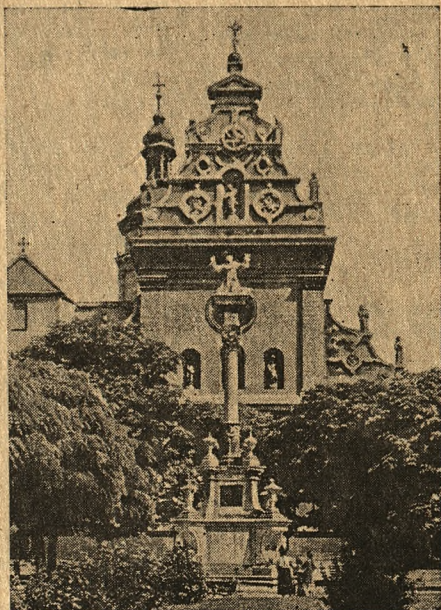
Wieża Korniatkowska i kopuła Dominikanów



Herb przy ul. Boimów



Kaplica Trzech Króli



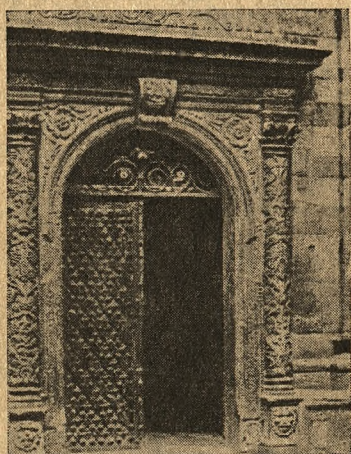
Fasada Bernardynów z posągiem św. Jana z Dukli



Cecha kuśnierzy lwowskich z r. 1594



Ossolineum, sala rękopisów



Cerkiew Wołoska, portal



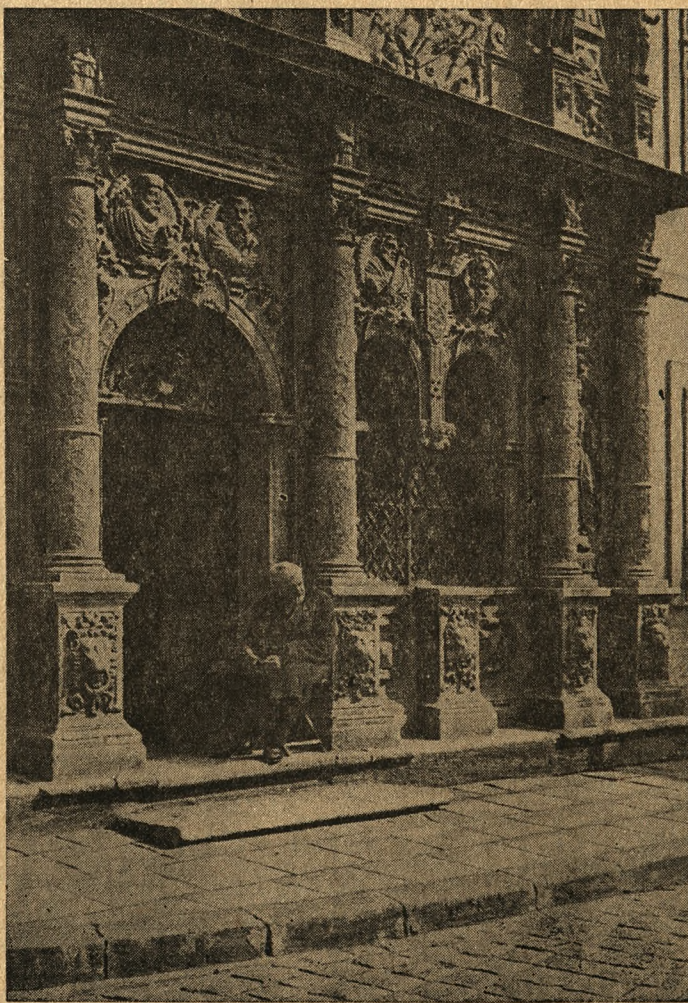
Plaskorzeźba na jednej z kamienic przy ul. Ormiańskiej



Ossolineum



Arsenał królewski Władysława IV



Wejście do kaplicy Boimów



Kaplica Boimów

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Piccadilly na codzień

Londyn, lipiec 1944

Tempo postępów wojsk Sprzymierzonych znacznie zwolniło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. W ubiegłym miesiącu karmieni byliśmy niemal dzień w dzień wiadomościami o wielkich zwycięstwach alianckich, stąd na ich tle to, co się dzieje obecnie na frontach, robi na nas wrażenie pewnej martwoty. A przecież w ostatnich dwóch tygodniach byliśmy świadkami operacji ważnych i o dużej doniosłości. Na froncie zachodnim przyszła niezwykle śmiała akcja wojsk spadochronowych w Holandii, połączona z ofensywą Drugiej Armii brytyjskiej. Na froncie wschodnim Rosjanie oczyszcili z wojsk niemieckich Estonię i weszli już na terytorium węgierskie.

Walki między Nijmegen a Arnhem przybrały szczególnie zacięty i ostry charakter. Gra idzie tu o wielką stawkę: o wyważenie sobie takich drzwi do Niemiec, poza którymi nie ma ani bariery wodnej, ani żadnej linii fortyfikacji. Jak wszędzie w sytuacjach szczególnie trudnych i eksponowanych, tak jak pod Monte Cassino i pod Falaise — tak i tu, pod Arnhem, razem z wojskami brytyjskimi walczą Polacy, polska brygada spadochronowa.

Niemcy — trzeba im to przyznać — na operację holenderską zareagowali sprawnie i energicznie. Bardzo szybko otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia i odpowiedzieli silnymi kontratakami. Skuteczną ich obronę obserwujemy zresztą na całym froncie zachodnim: wszędzie zdolali oni albo powstrzymać postępy wojsk Sprzymierzonych, albo też sprowadzić je do skali niewielkich lokalnych sukcesów. Ponieważ okres deszczów jesiennych jest już za pasem, więc najbliższe tygodnie powinny pokazać, czy Niemcom uda się powstrzymać teraz ofensywę wojsk Sprzymierzonych i przeciągnąć w ten sposób wojnę do wiosny, czy też Sprzymierzeni potrafią jednak złamać opór niemiecki jeszcze teraz i zwyciężyć przed końcem tego roku. Pewne czynniki pracują na Niemców: Sprzymierzeni nie mogą wcale pełni rozwijać swojej przynajmniej przewagi w sprzecz, skoro jeszcze nie wszystkie porty nad Kanalem są oczyszczone z Niemców, a inne wpadły w ręce alianckie stosunkowo niedawno i bardzo poważnie zdemolowane. Główna linia dostaw zdaje się nadal biec wyłącznie przez Cherbourg, a i ten port nie ma jeszcze pełnej swej zdolności przeładunkowej. Równocześnie, linia frontu jest w tej chwili szczególnie dla Niemców pomyślna: jest to bowiem linia możliwie najkrótsza, a więc najłatwiejsza do obrony. Front przebiega przecież niemal że wzdłuż linii prostej. Na długich odcinkach linia ta — zgrubsza biorąc — pokrywa się z linią granic Rzeszy, ale w Lotaryngii — tam właśnie, gdzie granica francuska wyrzusza się w kierunku wschodnim — front dzieli od granicy niemieckiej — a więc i linii Zygfryda — dobre kilkadziesiąt kilometrów.

Rzecz prosta, Niemcy mogą się bronić skutecznie mimo nierównych dziś potencjałów wojennych — dlatego że ich żołnierze bije się dobrze. Jest to fakt o znaczeniu nie tylko militarnym, ale i politycznym. Żołnierze niemieccy w ten sposób bowiem dzień w dzień składają deklarację wierności reżimowi. Jeśli bowiem w Niemczech istniał jakiś poważniejszy ruch, wrogi reżimowi i dalszemu prowadzeniu wojny, to właśnie teraz, w momencie klęsk i trudnej sytuacji politycznej Rzeszy, musiaby on przyjąć do głosu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Prawda, był zamach na Hitlera i rozprawa ze spiskującymi generałami. Cały jednak spisek nosił wyraźnie charakter rozgrywek w łonie kilku rządzących. Nie miał on ani cienia charakteru ruchu masowego.

Ze świadomości odpowiedzialności wszystkich Niemców za wojnę wyrósł plan twardej walki pokojowej dla Niemiec, opracowany przez amerykańskiego sekretarza skarbu, Henry Morgenthau'a. Jest to pierwszy tego rodzaju plan, jaki wyszedł z oficjalnych kół alianckich. Jest on śmiały, nawet więcej: rewolucyjny. Rewolucja bowiem byłoby przekształcenie wysoko uprzemysłowionych Niemiec w kraj rolniczy. Ma on, jak słyszymy, za sobą poparcie Roosevelta i Churchill, zato już dziś ma potężnych oponentów w łonie administracji Roosevelta; gdyby zaś przeszedł Dewey, nie wydaje się, aby miał jakiegoś szanse poważnego amerykańskiego poparcia.

Plan ten jest kapitalnej doniosłości dla nas. Morgenthau bowiem chce wyzyskać te okoliczności, iż główne centra przemysłowe Rzeszy znajdują się na terenach pogranicznych, zachodnich i wschodnich, i proponuje oddanie ich Francji i Polsce. Ponieważ zaś rola polityczna Rzeszy na kontynencie europejskim wynikała w pierwszej linii z posiadania przez Niemców tych właśnie ośrodków przemysłowych, konsekwencją jego musiaby być wielki wzrost znaczenia politycznego Francji i Polski, na których oparłaby się struktura polityczna przyszłej Europy. Dlatego plan Morgenthau'a, jeśli go logicznie przemysłać do końca, wymaga stworzenia silnej i naprawdę niezależnej Polski. Inaczej — w proporcji europejskiej — nie ma on sensu.

Równocześnie jednak dowiadujemy się, jeśli idzie o stosunek aliantów do Niemiec, dziwnych rzeczy. Oto mimo zaprzeczeń Cordell Hulla, przed kilkoma dniami przeczytaliśmy dość niezwykłą korespondencję z Londynu. Okazuje się mianowicie, że ani Hitler, ani czołowi dygnitarze Niemiec hitlerowskich nie znajdują się na alianckiej liście niemieckich zbrodniarzy wojennych. Podobno są jakieś trudności natury formalnej, jakiś stojący tu na drodze sprzeciw prawny, durna lex, sed lex.

Trzeba Rosjanom przyznać, że zabrali się do rzeczy inaczej. Procesy oczekują zarówno gen. Antonescu, jak i trzech regentów bułgarskich. Przy czym podczas gdy Antonescu będzie sądzony przez trybunał sowiecki w Odessie, sprawę zasądzenia regentów bułgarskich postanowiono trybunałowi bułgarskiemu w Sofii. W ciągu trzech lat wojny z Niemcami Bułgaria nie przystąpiła jednak do koalicji antysowieckiej i Rosjanie umieją — jak widzimy — być za to wspaniałomyślnie wdzięczni.

Jakże reaguje na te wiadomości prasa brytyjska? Przyjmuje ona to do wiadomości, na ogół bez komentarzy, ale i bez protestów. Raz dlatego, że jest to posunięcie „great Ally”, po drugie dlatego, że zarówno reżim Antonescu, jak i Bułgarijczycy zapisałi się w dziejach wojny niejednym okrucieństwem (wystarczy przypomnieć pogromy w Odessie i barbarzyństwa, jakich dopuścili się Bułgarzy wobec Greków i Serbów).

Ktoby jednak chciał na podstawie tych wiadomości wnioskować, że przynajmniej Rosjanie potrafili Niemców potraktować „adekwatnie”, tego

w zamieszanie wprowadzi wiadomość, podana przez socjalistyczną — i to lewicowo socjalistyczną — „Tribune”. Tygodnik ten w numerze z dn. 11 sierpnia donosi o apelach jakiegoś kaprala SS, ogłaszanych przez radio moskiewskie, w których kapral ów nawołuje członków SS — crème de la crème reżimu hitlerowskiego — by poddawali się armii sowieckiej i zgłaszali do Komitetu Wolnych Niemiec. Kapral ten zapewniał członków SS, że nieprawda jest, jakoby mieli oni wszyscy być przez Rosjan ukarani. Jak każdy zatwardziały grzesznik, tak i oni mogą jeszcze w ostatnim momencie być uratowani, trzeba tylko, żeby znaleźli swoją drogę do Damaszku.

*

Konferencję w Quebecu otacza nie tylko mgła tajemnicy. Otacza ją także atmosfera pewnej zagadki. Ledwie się ona zaczęła, a zjawili się w Quebecu nagle minister Eden, który również nagle wrócił do Londynu, poczem konferencja nagle została przerwana, a premier Churchill potem jeszcze dwa tygodnie spędził w Kanadzie.

A tymczasem na Bałkanach sytuacja polityczna zarysowuje się wcale wyraźnie. Cała Rumunia i Bułgaria są pod kontrolą wojskową sowiecką. Zato mimo powtarzanych kilkakrotnie wiadomości o tym, że armia marszał. Tita nawiązała kontakty z armią sowiecką, Rosjanie nie wkroczyli na terytorium Jugosławii. Ale zato wojska bułgarskie nie wycofały się z Tracji. W Sofii ogłoszono, że wojska te zawarły układ z Grekami, na mocy którego wojska bułgarskie zostają w Tracji, aby w ten sposób chronić ją przed ewentualną okupacją niemiecką, zaś administrację lokalną obejmują Grecy. Ze strony rządu greckiego przyszło szybko sprostowanie, że żadnego układu takiego nie zawierał. Wyjaśniło się potem, że Bułgarijczycy zawarli ten układ nie z rządem greckim, ale z lewicową grecką organizacją E. A. M. Ponieważ zaś oficjalnie ogłoszono już, że wojska bułgarskie przeszły pod dowództwo marszał. Tołbuchina, oznacza to, że Rosjanie kontrolują w tej chwili dostęp do morza Śródziemnego.

*

Dzień w dzień czytamy teraz w relacjach korespondentów londyńskich sprawozdania o stanie „sprawy polskiej”. Pochyleni nad pacjentem, notują oni wszystkie, najdrobniejsze, zmiany temperatury: dziś podwyżka, jutro znów spadek. Szkoda wielka, że w diagnozach swych zupełnie nie biorą pod uwagę jednego czynnika: audycji radiowych Związku Patriotów z Lublina.

Zasięg rozpętanej propagandy jest szeroki, przede wszystkim jednak przedmiotem ataków stało się ostatnio powstanie w Warszawie.

Główny argument, jakim się tu szermuje, jest ten: że powstanie miało swoje cele polityczne: uchwycenie przez polskie czynniki rządowe władzy w Warszawie w swe ręce. W takim postawieniu sprawy jest dużo demagogii. Demagogicznie wyzyskuje się przede wszystkim znaczenie słowa — polityczny. Każda akcja wojenna jest zawsze akcją par excellence polityczną. Nie ma w tym nic wstydliwego, ani nic z czym by się trzeba było kryć. Rzecz prosta, że skutkiem wypędzenia Niemców przez Polską Armię Podziemną z Warszawy musi być opanowanie przez tę armię władzy w stolicy. Ale powstanie jest przede wszystkim walką zbrojną z Niemcami. Powstanie wiąże w Warszawie około pięciu dywizji wojsk niemieckich, które, gdyby go nie było, Niemcy mogliby rzucić przeciwko Armii Czerwonej. To jest także polityczny aspekt powstania. I to aspekt, który w czasie wojny, kiedy wzięty na główny jej cel: pobicie nieprzyjaciela, powinny górować nad wszystkimi innymi, przede wszystkim powinien być brany pod uwagę.

Ale bo też Komitet Lubelski najbardziej boli nie ten polityczny cel, który powstaniu warszawskiemu zarzucają, ale jego polityczne skutki.

Propaganda Związku Patriotów insynuowała, że Polska Armia Krajowa jest w jakichś kontaktach z Niemcami, dawala bez mała do zrozumienia, że jest ona proniemiecka, a w każdym razie że jest bardziej antysowiecka niż antyniemiecka. Powstanie warszawskie zadalo tym wszystkim insynuacjom kłam. Polska Armia Krajowa wstąpiła do akcji przeciwko Niemcom, i to do akcji odcinającej wydatnie na tym odcinku frontu Rosjan.

Twierdzeniem tej propagandy powstanie warszawskie zadalo najwymowniejszy, jaki można było zadać, kłam jeszcze z jednego względu. Jest rzeczą oczywistą, że powstanie zostało podjęte przez dużą i dobrze zorganizowaną siłę wojskową, po

drugie zaś, że nie mogłoby się ono utrzymać dwóch dni, a co dopiero dwóch miesięcy, gdyby nie porwał za sobą całej ludności Warszawy. Fakt, że pomimo dwóch miesięcy walk Niemcom nie udało się dotąd zdławić powstania, ma swoją wymowę, także i polityczną. Jest to wymowa plebiscytu. Plebiscytu jednomyślnego, mimo że nie stał za nim żaden nacisk administracyjny (jak to z reguły w jednomyślnych plebiscytach bywa), dokonanego w warunkach tak absolutnej wolności, jaką może dać tylko powstanie ludzi przeciwko uciemiężającej ich władzy.

Powstanie wybuchło w momencie, kiedy Niemcy zaczęli ludność męską wywozić z Warszawy. Później wybuchnąć nie mogłoby. Wybuchło ono w momencie, kiedy armie sowieckie stały o kilkanaście kilometrów od stolicy. Powstańcy więc mieli prawo spodziewać się, że armie te łada chwila rozpoczną akcję ofensywną przeciwko pozycjom niemieckim w Warszawie. Powstanie było także aktem pomocy dla tych armii, nie deklaracją słowną — takie deklaracje niewiele kosztują — ale aktem opłacanym najcenniejszą monetą krwi.

Wreszcie jeden jeszcze polityczny efekt powstania. Czas, kiedy nazywano nas natchnieniem świata, należał już do odległej przeszłości. Czas na wojnie leci szybko, a lata wojenne liczą się co najmniej podwójnie. Prawda o nas stała się z czasem z natury prawd kłopotliwych, takich, o których się łatwo i chętnie zapomina. Powstanie przypominało ją mocno i dobitnie.

W powstaniu ludność stolicy z bronią w ręku postanowiła wypędzić okupanta. Trudno o godziwszy cel walki. Nie potrzebuje on usprawiedliwień. Koszta tego powstania są tragicznie wielkie. Ale ponieważ wszystko się na tym świecie wiąże i spleta, powstanie warszawskie ma także swoją wymowę polityczną. Komentarze polityczne z Lublina świadczą, że znaczenie tego aktu zostało tam zrozumiane.

Decyzja Churchilla i Roosevelta znacznego rozszerzenia zasięgu kompetencji rządu włoskiego kończy za stanem rzeczy dla dalszej przyszłości demokracji we Włoszech niepokojącym i szkodliwym. Rząd Bonomiego miał bowiem dotychczas tylko cień władzy. Nominalnie bowiem rząd ten był u władzy i był za stan rzeczy we Włoszech odpowiedzialny. Stan ten zaś w kraju, który przegrał wojnę i po którym bardzo gruntownie przetoczył się — i toczy się — walec operacji wojennych, musi być smutny: Włochy są zrujnowane w wielu okęgach kraju, włączając w to Kampanię z Rzymem, sytuacja żywnościowa jest trudna. Powiększają trudności te wszystkie kłopoty, które wynikły z blisko dwudziestoletniego przerwania w kraju normalnego życia partii politycznych.

W dodatku na Sycylii podnoszą głowy prądy separatystyczne. Soki żywotne czerpią one z możliwości pewnego antagonizmu gospodarczego, jaki się zarysował między wyspą a tymi prowincjami półwyspu Apenińskiego, jakie znajdują się w ręku aliantów. Ze wszystkich prowincji włoskich, będących dziś w ręku alianckim, Sycylia nie tylko bowiem jest najżyźniejsza, ale też i stosunkowo mało zniszczona. Otóż separatysty wyzyskują ten fakt. Rozwinęli oni agitację, twierdząc, że inne prowincje żyją kosztem Sycylii i że ją wygładzają. Krótko mówiąc, twierdzą oni, że Sycylii byłoby gospodarczo lepiej, gdyby się od reszty Włoch odciął.

Wszystko to rysuje polityczną sytuację Włoch w niewesołym świetle i wszystko to grozi kompromitacją polityczną tym demokratycznym partiom włoskim, które ostatnio — nominalnie — Włochami rządziły. Pewne niepokojące objawy tego stanu rzeczy już dzisiaj możemy stwierdzić. Z jednej więc strony wyzyskuje nastroje niezadowolenia faszyzm, który, grając na nucie dumy narodowej młodzieży, stara się ją z powrotem zyskać dla siebie i wydobyć z tej kompromitacji, w jakiej pogrążyła go wojna, z drugiej żywa agitację rozwijają komunisty.

Nie trzeba tłumaczyć, jak ogromne znaczenie dla spokoju i równowagi politycznej powojennej Europy będą miały Włochy, w których życiu politycznym demokratyczne instytucje i partie polityczne ugruntuja się znowu na trwałe. Do tego trzeba jednak nie tylko, aby rząd włoski na prawdę ujął w swe ręce ster spraw włoskich, ale też aby uzyskał on od Sprzymierzonych taką pomoc, któraby mu umożliwiła wyprowadzenie Włoch z dzisiejszej tragicznej sytuacji. Decyzje Roosevelta-Churchilla należy rozumieć jako pierwszy krok na tej drodze.

27.9.44.

..ww.

Delegacji urzędników, pełnych dobrych rad, Abraham Lincoln powiedział: „Panowie, przymijmy, że cały wasz majątek złożony został w złocie i że umieściliście je w rękach akrobata, który ma je przenieść przez Niagara, idąc po linie. Powolnymi, ostrożnymi, wytrwałymi krokami stąpa on po linie, przenosząc cały wasz majątek. Czy będziecie szarpać za linę i krzyczeć do niego: „Wyprostuj się nieco! Stań na chwilę! Przyspiesz kroku! Pochyl się nieco na prawo! A teraz — na lewo!“ Czy tak zachowalibyście się w tej krytycznej chwili? Oczywiście, że nie. Każdy z was powstrzymałby oddech i nie wypuściłby pary z ust. Trzymalibyście ręce przy sobie tak długo, aż znalazłby się bezpiecznie po drugiej stronie. Rząd nasz, proszę panów, dźwiga olbrzymi ciężar, nieopisane skarby znajdując się w jego rękach. Osoby, kierujące w czasie tej burzy nawą państwa, dają z siebie co mogą najlepszego. Nie niepokójcie ich zbędnymi ostrzeżeniami i skargami. Zachowajcie milczenie, bądźcie cierpliwi, a znajdziecie się bezpiecznie poza przeszkodą“.

No w o ś ć!

No w o ś ć!

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 350 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE“, Jerozolima

Mówi się w Londynie, że bomby latające odegrają rolę historyczną. „Baby Blitz“ nie potrafi zdzierać murów tego miasta, ale zniszczy resztki angielskiego izolacjonizmu, który, być może, nie ostał się w tutejszej myśli politycznej, ale na pewno zato wegetował tam wszędzie, gdzie spokój ostatnich lat wojennych przygłuszył wspomnienia wielkiego blitzu lat czterdziestych, pozwalając na odrodzenie się poczucia trwałego wypierskiego bezpieczeństwa, ochranianego Kanalem.

Narazie latające „kiwiki“ spowodowały rewolucyjne zmiany w konwencjonalnym życiu londyńczyków. Nie tyle w sposobie życia, ile w tutejszym savoir vivre'ze. Nie mówi się już o pogodzie! Pogoda przestała jak gdyby być koniecznym początkiem angielskiej konwersacji i to pomimo że chroniczny brak lata w tym roku nastroja piękne możliwości snucia zajmujących rozważań. Dzisiaj ten pasjonujący temat przestał nagle interesować, chyba rekonesans, jeżeli rozważa się poziom zachmurzenia i wpływ jego na operacje bomb. Zainteresowanie skoncentrowało się na „ślepotach“ (barwne określenie Karola Zbyszewskiego). A możliwości i warianty tematu są bogate. Każdy ma swoje obserwacje i poufne informacje, które z regularnością biuletynów ulegają codziennym zmianom. Każdy ma też swoje własne bomby, z reguły bardziej fascynujące i zajmujące od bomb cudzych. Felietonista Cummings w „News Chronicle“ pisze, że odróżnił się popularny w czasach Blitzu typ „bomb bo-rea“, który zanudza otoczenie barwnymi opisaniami swoich bombowych doświadczeń. „Niechże taki nudziara — irytuje się Cummings — pamięta, że każdy z nas ma swoje własne bomby i cudze interesują go znacznie mniej“.

Dobrze, ale cóż to wszystko ma wspólnego z wyspiarskim izolacjonizmem?

Wschodząca gwiazda „Daily Mailu“, Alistair Forbes, pisze, że w opinii angielskiej bomby, wysyłane na ślepo z wybrzeży francuskich, dokonały przewrotu, którego nie potrafiły spowodować łącznie — cztery lata wojny, łódzie podwodne, blitz i okrucieństwa niemieckie w krajach okupowanych. Człowiek z ulicy angielskiej, widząc sunący nad dachami Londynu pocisk, wystrzelony przed pół godziną gdzieś z tamtej strony Kanalu, uświadamia sobie jednocześnie bezpośrednią bliskość kontynentu, swoją geograficzną łączność z Europą. Rozważania jego nie ograniczają się jednak do tego. Uczy się nienawidzić Niemców. Człowiek ten ma wrodzone uczucie „fairness“. Nie jest to szablonowy frazes, — pisze Forbes, — uczucie to trudno jest sprezykować i trudno je dostrzec, zwłaszcza cudzoziemcowi. Jest ono ukryte w świadomości angielskiej głęboko i obwarowane dyskrecją oraz umiejętnością ukrywania własnych reakcji. Jest ono tolerancyjne i przyjmuje wszystkie argumenty, którymi przeciwnik może się bronić. Jeżeli jednak miara zostanie przekroczona, a argumenty okażą się fałszerstwem, wyrok zapada surowy i bez apelacji. Blitz z lat 1940—1941 został rozgłoszony, ponieważ został uznany za militarny chwyt dowództwa niemieckiego, które w ten sposób chciało złamać angielskiego przeciwnika. Blitz miał widoki na osiągnięcie zamierzonego celu, miał poza tym pewne swoje reguły. Wiadome były pory dnia, w których panuje względny spokój i bezpieczeństwo. Regulowane były one przez zegarek. Noc była okresem walki, dzień — okresem pracy czy też odpoczynku. Zresztą samolot był kierowany przez człowieka, który sam ulegał niebezpieczeństwu i sam mógł być zniszczony. Pilot nieprzejścieli mógł teoretycznie cofnąć się przed bombardowaniem celu wyraźnie cywilnego, mógł jednak zawrócić, mógł szukać obiektu wojskowego. Był w tym pewien porządek gry, ryzyko było obustronne. Te same argumenty odnoszą się do innych dziedzin walki, do walki na lądzie, nawet do akcji łodzi podwodnych.

Inaczej jest teraz. Bomba latająca jest uderzeniem ślepym, uderzeniem zniekształceni, zbędnym aktem teutońskiej wściekłości. Wojna jest dla nich przegrana, nowa broń nie może w najmniejszym stopniu zmienić jej zarysówujących się coraz wyraźniej kolei. Więc pocóż mordować na ślepo? I Forbes, a i niemała liczba innych publicystów, stwierdza, że Hitler oddał swymi bombami fatalną usługę narodowi niemieckiemu. Zapłacą oni za to nie w skali mniejszej lub większego odwetu, ale w skali historycznej. Gwarantuje to obrażone do głębi poczucie ludzkiej lojalności narodu angielskiego.

Ale. Ale we wczorajszym „Timesie“ ukazała się obszerna depesza z Moskwy własnego korespondenta tej szacownej gazety. W depeszy tej, której układ sprawia, że niezorientowany czytelnik łatwo pomiesza, co jest wiadomością, podaną od redakcji pisma, a co jest informacją ze źródeł sowieckich, podane są szczegóły, dotyczące t. z. „Krajowej Rady Narodowej“, czyli tamtejszego sovietu polskiego. Z wiadomości tej czytelnik łatwo przekona się o reprezentacyjności „Rady“, do której wchodzi przedstawiciele fantastycznych organizacji i ruchów politycznych. Wiadomość jest tak skonstruowana, że każdy, kto dokładnie nie zna spraw polskich, będzie musiał ulec wrażeniu, jakoby „Rada“ reprezentowała olbrzymią większość opinii polskiej w kraju. Otóż redakcja „Timesa“ orientuje się w rzeczywistości i orientuje się w tendencjach swojego moskiewskiego korespondenta. Jakż wiece wniosek nasuwa się polskim czytelnikom dziennika?

Na szczęście w tym samym numerze pisma znaleźliśmy obszerny artykuł w dziale „bridge’a“. Autor wspomnianego artykułu rozważa sprawę tak zwanej obrony robra. Pisze on, że w opinii angielskiej licytacja pięciu trefli, zgłoszona w celu uniemożliwienia przeciwnikom zagrania kończących robra czterech kierów, jest rzeczą... nieetyczną, o ile — dodaje przeznorne — dzielni obrońcy robra nie mają najmniejszych chociażby widoków na zrobienie zapowiadanej gry. Jak widzimy z rozważań brydżowego eksperta „Timesa“, opinia tutejsza nie toleruje w bridge'u nieszkodliwych fauli.

Tadeusz Zablocki

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.